

**Dziś w numerze: Katedry czy Instytuty? • Burza w Kalrze • „Tryton”
lubi wodę • Poczłówka z Albionu • Teatr, jaki mógłby być • Pomyłka
geniusza • Macierzyństwo • Felietony • Recenzje**

Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Bibliotek Publicznej
Łódź - Widzew



21 (551)
26. V. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

odgłosy

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

MARIA KORNATOWSKA

O teatr poszukujący

Zanurzony w słońcu i zieleni, iście majowy Kraków gościł w swych urokliwych murach prawdziwie wiosenną imprezę — Ogólnopolskie Spotkania Teatrów Studenckich. Spotkania były imponujące. Uczestniczyło w nich 21 teatrów z całej Polski. Na czele niesłychanie godnego i szacownego jury stała sama pani Lidia Zamkow. Krakowianie zorganizowali spotkania ze staropolskim rozmachem. Funkcjonowało biuro prasowe. Wydawano biuletyny żywo przez wszystkich komentowane i nie pozbawione rozmaitych uciecznych pomylek. Rozdawano pięknie wydrukowane i ucieczne brzmienie programy. Spektakle rozpoczynały się tylko z niewielkimi opóźnieniami. Jury ledwie dyszało z przepracowania, a biedni dziennikarze dwóili się i troili, żeby móc wszystko „zaliczyć”. A „zaliczać” raczej było warto!

Studencki ruch teatralny ma już utrwaloną renomę i stanowi chyba najcenniejszą pozycję w kulturalno-artystycznej działalności akademickiej braci. Spełnia on z jednej strony ważkie funkcje ideowo-wychowawcze, z drugiej zaś pozwala na poszukiwanie nowych, świeżych, dynamicznych form artystycznych. Eksperyment w teatrze studenckim wywodzi się zarówno z dążeń natury ideologicznej jak i artystycznej. Nieskrępowany ograniczeniami teatru zawodowego, duch studenckiej Melpomeny może szeroko rozwijać skrzydła.

Teatr studencki jest niewątpliwie zwierciadłem zainteresowań i postaw środowiska, forum dyskusji światopoglądowych, miejscem krzyżowania się rozmaitych ambicji i aspiracji. W trakcie dyskusji toczonych oficjalnie w klubie „Pod jaszczurami” i kulirowo przy kawiarnianych stolikach tudzież na plantach, dało się zauważyć ile trudności napotyka rzetelna ocena zjawiska teatrów studenckich w całej ich złożoności.

Przed wszystkim rzuca się w oczy zasadnicza różnica między teatrami reprezentacyjnymi. „eksportowymi” niemal, a mnóstwem małych zespołów, które jak grzyby po deszczu powstają w środowiskach uczelnianych. Obciążone nieuleczalnymi kompleksami, przygwożdżone wielkością słynnych konkurentów, pragną czasem za wszelką cenę zdobyć

swoje miejsce pod słońcem, pragną za jednym zamachem cały świat za dziwić. Pouczającego w tej mierze przykładu dostarczyły występy STEM z Warszawy ze straszliwie grafomańskim i pretensjonalnym programem „Nie będzie tanga”, którego autor i reżyser dawał wszem i wobec do zrozumienia iż uprawia sztukę przez największe z możliwych „S”. Teatr studencki otwiera bowiem wrota swoistej kariery. Umożliwia wyjazdy zagraniczne, pozwala „brylować” w środowisku. Jest to szczególnie atrakcyjne dla tych, którzy przestali być już studentami. Ale właśnie na małych, często niepozornych i nieporadnych teatrzykach wspiera się wartość całego ruchu. Małe teatrzyki są najściślej związane ze środowiskiem i w sposób najbardziej bezpośredni wyrażają jego zainteresowania i dążenia.

Naturalna nierówność zespołów po głębia sprawa funduszy i dotacji. Czołowe dziś teatry „Kalambur” z Wrocławia i „Gong-2” z Lublina działają w oparciu o całkiem zasobne zaplecze finansowe i dlatego też mogą sobie pozwolić na wystawianie imponujących spektakli w rodzaju „Dobrodzieja złodziei” Irzykowskiego i Mohorta, „Za” lub „Dzioga na Święto Narodzenia”. Tendencja widowiskowa stwarzająca możliwość szczególnie sugestywnego oddziaływania na widza, łączenia różnorodnych technik artystycznych wydaje się dziś nader silna. Negatywnym przykładem tej tendencji było „Oratorium rewolucyjne” (Teatr STUL i Zespół „Kontrast” z Krakowa) — widowisko dziwaczne i efekciarskie, w którym dobra poezja i muzyka nie wiadomo dlaczego połączono z kulturystyką i przezroczkami. Na marginesie warto zauważyć, że w tendencji widowiskowej tkwi niebezpieczeństwo ześlizgnięcia się na tory profesjonalizmu.

Krakowski przegląd dał nam bogatą panoramę możliwości teatrów studenckich zarówno w płaszczyźnie repertuaru jak i koncepcji inscenizacyjno-interpretacyjnej. Obok tzw. teatrów dramatycznych widzieliśmy pantomimę (Szczecin), quasi pantomimę (Teatr Leniwego Widza z

Dalszy ciąg na str. 8



Z TEKI ŁÓDZKIEGO TOWARZYSTWA FOTOGRAFICZNEGO.

Fot. J. Maroszek

„Młodzi Polacy lat 60 - tych”

Ogłoszony przez nas 10. III. br. konkurs na reportaż pod hasłem „Młodzi Polacy lat 60-tych” wywołał żywy odzew profesjonalistów i ludzi pióra in spe. Obok prac konkursowych wpływają jednak liczne listy z postulatami przedłużenia terminu, który jak wiadomo ustalony został na 31 maja br. Chcąc ułatwić wszystkim zainteresowanym wzięcie udziału

w naszym konkursie ustalamy nowy ostateczny termin składania prac na 15. VI. 1968.

Jednocześnie poczuwamy się do miłego obowiązku poinformować, że liczne instytucje ufundowały dodatkowe nagrody, dzięki czemu konkurs nasz zyska niewątpliwie na popularności.



Nowy Układ o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy, zawarty między Polską a Węgrami w ub. tygodniu, ma znaczenie wykraczające poza nasze kraje. Jest on także ważnym elementem spójności wspólnoty socjalistycznej oraz czynnikiem bezpieczeństwa europejskiego kontynentu. Te jego funkcje będą zrozumiałe wówczas, kiedy zastanowimy się nad istniejącą w Europie i na świecie sytuacją.

Imperializm prowadzi ofensywę przeciwko siłom postępu, starając się choć w części odzyskać utracone pozycje w latach powojennych. Postępuje się przy tym całym arsenałem środków — od otwartej interwencji, jak to ma miejsce w Wietnamie, przez wykorzystywanie innych krajów, czego przykładem Bliski Wschód i popieranie reżimów zachodniomilitarnych, po dywersję polityczną. Świadomą swą militarną bezsilności wobec krajów socjalistycznych — postawił na rozbicie tej wspólnoty, osłabienie politycznych i ekonomicznych więzów ją łączących. Wykorzystuje przy tym wszystkie nadarzające się po temu okazy, żeby chociaż wspomnieć o trwającym, a zapoczątkowanym przez KPCZ, procesie wewnętrznej odnowy Czechosłowacji.

W tej sytuacji, co podkreślił i Władysław Gomułka i Janos Kadar, jedność krajów socjalistycznych jest szczególnie istotna, a obrona zdobytych, które są wspólnie, jest sprawą wszystkich krajów tej wspólnoty.

Na kontynencie europejskim główne niebezpieczeństwo niesie polityka rządzących kół NRF. Gwałtowny wzrost sił neohiperwskich, które zaczynają odnosić zwycięstwa wyborcze, świadczy o korzystnym dla nich klimacie w zachodnich Niemczech. Wybuch nacjonalizmu w NRF nie jest oczywiście sprawą tylko tego państwa. Cena odrodzenia faszyzmu jest zbyt wysoka, aby narody Europy patrzyły na to obojętnie.

Awanturnictwo, do którego dąży siły odwołujące w NRF, zagrozić może jednemu krajów socjalistycznych. I wszystko, co jej służy — służy tym samym bezpieczeństwu Europy. I to jest „zewnątrzny” sens polsko-węgierskiego układu o przyjaźni.

W Paryżu już drugi tydzień toczą się wstępne rozmowy wietnamsko-amerykańskie. Trzy dotychczasowe spotkania przedstawicieli DRW i USA wydają się w całej rozciągłości potwierdzać przypuszczenia, że droga do przywrócenia pokoju w Wietnamie najłatwiej będzie znaleźć przeszkodami. Celem paryskich rokowań — jak przypominał przewodniczący delegacji DRW, min. Xuan Thuy — jest „ustalenie wspólnie ze stroną amerykańską bezwarunkowego zaprzestania bombardowań i wszelkich innych aktów wojny ze strony USA przeciw DRW, a następnie omówienie innych problemów, interesujących obie strony”.

Jednak przewodniczący delegacji USA, Harriman odrzuca możliwość bezwarunkowego przerwania bombardowań, domagając się „aktów odwzajemnienia”. A przecież przedstawiciele Hanoi podkreślali niejednokrotnie, że początkiem rokowań na istotne dla przyszłości Wietnamu tematy musi być definitywne przerywanie przez USA z aktów wojny wobec Demokratycznej Republiki Wietnamu. Dopóki Waszyngton nie da dowodów szczerzej gotowości wstąpienia na drogę deeskalacji agresji — dopóty nie zarysują się możliwości pokojowego porozumienia. Tymczasem w toku dotychczasowych roboczych spotkań nie nastąpiło nic, co mogłoby świadczyć o dobrej woli USA.

„Delegacja wietnamska — powiedział grupie dziennikarzy Xuan Thuy — wykaże skrajną cierpliwość. Jednakże i ta cierpliwość ma swoje granice”.

Trudny początek paryskich rozmów nie może przesądzać o ich powodzeniu — rozmowom mimo obecnych przeszkód towarzyszy nadal umiarkowany optymizm, choć wielu komentatorów zachodnich przewiduje długie i trudne rokowania, które „mogą się ciągnąć miesiącami, a nawet latami”.

W Komitecie Politycznym ONZ trwa debata nad projektem układu o zakazie rozpowszechniania broni jądrowej. Do niedzieli zabrano głos 42 mówców, a przewiduje się, że w dyskusji będą uczestniczyli przedstawiciele ok. 80 krajów. Z dotychczasowej wymiany poglądów wynika, że zdecydowana większość państw popiera projekt. Dlatego jest więcej niż pewne, że obecne Zgromadzenie Ogólne przyjmie układ — nawet, gdyby uchwalono zasadę wymagającą 2/3 głosów. Walka, jaka się toczy na forum Komitetu Politycznego i w kuluarach ONZ jest przede wszystkim walką o głosy, a więc i przyszłych sygnatariuszy układu.

W połowie bieżącego tygodnia oczekuje się zamknięcia debaty w Komitecie i przekazania projektu Zgromadzeniu Ogólnemu.

W niedzielę i poniedziałek we Włoszech odbyły się wybory do obu izb parlamentu. Wybrano w nich 630 deputowanych do Izby Posłów i 315 senatorów. Wyników głosowania nie zdążymy już skomentować w bieżącym numerze. Dla ułatwienia jednak czytelnikom orientacji przypomnijmy pozycje największych partii z poprzedniego głosowania.

Do wyborów w br. stanęło 8 partii politycznych (nie licząc małych ugrupowań lokalnych). Trzy z nich: Chrześcijańska Demokracja, Zjednoczona Partia Socjalistyczna i Partia Republikańska tworzą koalicję tzw. centrolewej. W poprzednich wyborach w 1963 roku otrzymały one kolejno: 33,3 proc., 19,9 proc. i 1,4 głosów.

Wysoką pozycję wśród wyborców ma Włoska Partia Komunistyczna, która w 1963 roku uzyskała 25,3 proc. oddanych głosów. Przed obecnymi wyborami wspólną z nią kampanię prowadziła nie istniejąca przed 5 laty Włoska Partia Socjalistycznej Jedności Proletariackiej.

Pozostałe trzy partie, które stanęły do wyborów, to: liberalna, dysponująca poprzednio 7 proc. głosów, neofaszyzowska (Włoski Ruch Społeczny) — 5,1 proc. oraz monarchistowska — 1,7 proc.

W. ŚLAWSKI

Niżej publikujemy fragment książki pt. „GOŁĄB” WYPUZCZONY pióra trzech radzieckich publicystów naczynych świadków agresji Izraela na Bliskim Wschodzie. W książce, która wkrótce ukaże się nakładem Wydawnictwa MON, autorzy opierając się na dokumentach i faktach opisują podłoże przygotowania i samą agresję Izraela.

IGOR BIELAJEW
TOMAS KOLESNICZENKO
EUGENIUSZ PRIMAKOW

Burza w Kairze lub „Tylko Naser!”

Kulminacyjnym momentem ostatniego kryzysu bliskowschodniego były wydarzenia, jakie miały miejsce w Egipcie 9 i 10 czerwca, w wyniku których stało się jasne, że sukcesy wojenne agresorów izraelskich nie staną się ich zwycięstwem.

Ranikiem, 9 czerwca, na zmętniałe od lipcowego gorąca kairskie niebo wtoczył się, jak zwykle, rozżarzony dysk słońca. Ten dzień zaczynał się bez alarmów przeciwnieczych. W przeddzień na żądanie Rady Bezpieczeństwa ONZ przerwano na Synaju ogień. Jednakże tego dnia w stolicy ZRA wyczuwano się napięcie, być może, nawet większe niż dotychczas. Plakaty to dzień wolny od pracy w Zjednoczonej Republice Arabskiej. Zwykle w plakat na kairskich ulicach jest mało samochodów. Tak było i 9 czerwca. Jednakże te nieliczne samochody z zamalowanymi na niebiesko reflektorami przelizgiwały się po ulicach jeszcze szybciej niż zwykle.

Piętno napiętej uwagi wypisanie było nawet na niewzruszonych zazwyczaj twarzach odzwierciedla, znajdujących się przy każdym kairskim domu. (W czasie wojny siedzieli przy workach z piaskiem, którymi osłonięte były wejścia do wszystkich kairskich domów w śródmieściu). Wszyscy oczekiwali drugiego połowy dnia. Oczekiwali zapowiadanej przez radio i prasę przemówienia prezydenta Nasera.

Nieco zmęczona i zasmuconna twarz prezydenta pojawiła się na ekranach telewizorów o godzinie 19.40. Naser odczytał przygotowany wcześniej tekst, czasem tylko podnosząc oczy i zwracając wzrok w kierunku kamery telewizyjnej. Wydawało się, że jeszcze bardziej pościwił w czasie ostatnich kilku dni.

Prezydent wygłosił dwudziestominutowe oświadczenie. „Kraj przeżywa ciężkie chwile — powiedział. — Teraz szczególnie potrzebna jest cierpliwość, mądrość, stanowczość i umiejętność wytrwałej pracy. Jestem przekonany, że wszyscy jesteśmy w stanie przezwyciężyć tę ciężką sytuację”.

Gamal Abdel Naser podkreślił, że ZRA rozpoczęła koncentrację swoich wojsk na Synaju, wiedząc o przygotowywanej agresji Izraela przeciwko Syrii. „Państwa Arabskie — powiedział Naser — nie miały wcale zamiaru napadać na Izrael. Stały się one ofiarą izraelskiej agresji. Wróg atakował, wykorzystując poparcie innych sił”. Gamal Abdel Naser wysoko ocenił walkę, którą rozwinęły narody Jordanii, Iraku, Algierii i Syrii, stanowisko, jakie zajęły narody Sudanu, Jemenu, Maroka i Tunisu, i moralne wsparcie milijonów pośród krajów. Prezydent ZRA oświadczył, że w związku z zaistniałą sytuacją postanowił zerwać się z zajmowanych przez siebie oficjalnych funkcji i przekazać swoje obowiązki wiceprezydentowi ZRA Zakarij Mohreddinowi.

„Ta decyzja — dodał Naser — oczywiście nie likwiduje rewolucji. Nie jest ona monopolem jednego rewolucyjnego pokolenia. Nasze pokolenie potrafiło wygrać brytyjską wojnę, uzyskać niepodległość Egiptu, określić nowe oblicze kraju, odrzucić politykę podziału świata arabskiego na imperialistyczne sfery wpływów. To pokolenie przeprowadziło rewolucję społeczną, wcieliło w życie głębokie przeobrażenia w społeczeństwie egipskim, wprowadziło kontrolę nad bogactwami naturalnymi i nad produkcją państwowa, przywróciło prawa Egiptu do Kanału Sueskiego, opracowało podstawy industrializacji, budując Tame Asuańska, aby przeobrazić bezodpływne pustynie

w urodzajne pola, pokryło północną część doliny Nilu siecią elektryczną. I co ważniejsze od tych wszystkich osiągnięć, pokolenie to potrafiło zorganizować w politycznym kierownictwie sojuszy sił pracujących narodu... Wierzę bezgranicznie — podkreślił Naser — w kierowniczą rolę sojuszu robotników, chłopów, inteligencji i narodowej burżuazji...”

Właśnie pod hasłem zachowania wszystkich tych zdobyczy, pod hasłem walki o rewolucyjną egipską rewolucję rozpoczęły się bezpośrednie wystąpienia Nasera demonstracje ludzi w całym kraju.

Jeden z nas z okna kairskiego domu obserwował wówczas niezwykle obraz. Przed chwilą ulica była pusta. Momentalnie, w jakimś ulamku minuty, zapadła ją masa ludzi. Z początku wystąpienia i demonstracje były żywiołowe. Ludzie oglądający telewizję i słuchający radia dowiedzieli się o rezygnacji Nasera i pierwszą ich reakcją było wyjście na ulicę. Wkrótce na ulicach Kairu pojawili się fellochowie z prowincji. Kair zabuchany nieczym rozdrażniony ul, coraz silniej i silniej. Ogromne kolumny demonstrantów z hasłami: „Naser tylko Naser!”, „Chcemy kontynuacji rewolucji” — szły w stronę budynku Zgromadzenia Narodowego ZRA i w stronę rezydencji prezydenta w Heliopolis.

Znalazły się jednak siły, które chciały zerwać to żywiołowe referendum narodu. Z chwilą demonstracji zaczęły wybuchać petardy mające pozorować wybuchy bomb jakoby zrzuconych z samolotów izraelskich. Niebo gorączkowo przeszukiwały przeciwlotnicze pociski smugowe. Zawył syreny alarmu przeciwlotniczego. Głośniki umieszczone na samochodach policyjnych wzywały ludzi, aby udali się do domów, gdyż „lotnictwo Izraela dokonuje teraz najbardziej okrutnego ze wszystkich swych nalotów lotniczych”.

Później nierzwywypytaliśmy naszych znajomych mieszkańców Kairu, kto krył się za tą pozoracją nalotów? Nikt jednak nie odpowiedział nam na to pytanie.

Późnym wieczorem radio Kair przekazało apel Nasera, który zwrócił się z prośbą do obywateli republiki, aby zachowali spokój i wrócili do swych domów. Ale ludzie gro madzili się na ulicach, nadal kierowali się w stronę gmachu Zgromadzenia Narodowego i w stronę rezydencji prezydenta w Heliopolis. Jednocześnie dotarły do Kairu informacje o ludowych demonstracjach w innych krajach arabskich podjętych w obronę Nasera i rewolucji egipskiej.

W tym czasie z Kairu do redakcji „Prawdy” biegle radiotelefonem następujące słowa: „To, co dzieje się teraz w Kairze, Aleksandrii, Port Saidzie, Ismaili, Asuanie i innych miastach, uodwadnia, jak głębokie korzenie zapuściła w narodzie egipskim polityka antyimperializmu, przemian socjalnych, realizowana w ostatnich latach w ZRA pod kierownictwem prezydenta Nasera”.

Na Zachodzie było niemało ludzi, którzy usiłowali wykaazać, „oderwanie się” sił postępowych od „egipskiej rzeczywistości”. Ludzi twierdzących, że przywódcy kraju na rzucali mu obcą politykę. Niechby ci ludzie spojrzeli wówczas na zatłoczone ulice kairskie. Usłyszeli, jak cały naród żąda — nie prosi, a żąda, aby Naser nie odchodził ze stanowiska prezydenta, żeby jego politykę kontynuowano w ZRA.

Późną nocą z 9 na 10 czerwca odbyło się posiedzenie rządu. Jednocześnie zdecydowa-

no, że Naser powinien pozostać na stanowisku prezydenta. O świcie Zgromadzenie Narodowe republiki taką właśnie rezolucję przyjęło.

10 czerwca o godzinie 12.40 znowu rozpoczęły się obrady Zgromadzenia Narodowego. Od tej chwili wszystkie wejścia do gmachu były zatłoczone ludźmi. Bez przesady można powiedzieć, że cały Kair znajdował się wówczas na ulicach. Przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Anwar Sadat, oświadczył, że Naser nie może przejść ze swojej rezydencji do gmachu egipskiego parlamentu z powodu ogromnych tłumów, odczytał przekazane przez telefon orędzie prezydenta: „Nie mogę nie usłuchać woli narodu — oświadczył w orędziu Naser. — Oddam mu wszystkie swoje siły do ostatniego tchu. Zo stanę na stanowisku do dziś, dopóki nie zostaną zlikwidowane wszystkie następstwa agresji. Z tego, co się zdarzyło, powinniśmy wyciągnąć wnioski...”

Izraelcy ekstermiści mogli uzyskać sukcesy wojskowe, ale nie mogą osiągnąć zwycięstwa. Jednocześnie stwierdzono, że Naser nie może przejść ze swojej rezydencji do gmachu egipskiego parlamentu z powodu ogromnych tłumów, odczytał przekazane przez telefon orędzie prezydenta: „Nie mogę nie usłuchać woli narodu — oświadczył w orędziu Naser. — Oddam mu wszystkie swoje siły do ostatniego tchu. Zo stanę na stanowisku do dziś, dopóki nie zostaną zlikwidowane wszystkie następstwa agresji. Z tego, co się zdarzyło, powinniśmy wyciągnąć wnioski...”

Likwidacja postępowych ustrojów była i pozostanie strategicznym celem tych, którzy organizowali izraelską agresję. Ich głównym celem było obalenie rządów Nasera, kierującego największym pod względem zaludnienia i najbardziej rozwiniętym przemysłowo państwem arabskim. Właśnie dlatego wydarzenia 9 i 10 czerwca w ZRA były kulminacyjnym punktem kryzysu.

Decyzja Rady Bezpieczeństwa ONZ o przerwaniu ognia zastała armię izraelską na wschodnim brzegu Kanału Sueskiego; przeszła ona pustynną część Egiptu, ale nie wkroczyła jeszcze w jego zagospodarowane rejony. Na sforsowanie tej stosunkowo wąskiej rubieży wodnej, Izrael wówczas się nie zdecydował. Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne zażądały, aby Tel-Awiv podporządkował się rezolucjom Rady Bezpieczeństwa. Dla kierownictwa Izraela w przypadku odmowy wykonania tej decyzji, ryzyko byłoby zbyt poważne. Ale na Zachodzie niektórzy liczyli jednocześnie na to, że osiągnięto już wystarczająco wiele dla wytworzenia sytuacji umożliwiającej działanie wewnętrznych sił antynaseroskich.

Izraelscy żołnierze zbliżyli się do Kairu na odległość 120 kilometrów. Te sytuację — o czym marzyli imperialistyczni politycy — powinna była wykorzystywać reakcja wewnętrzna w ZRA. Szli jej z pomocą izraelscy agresorzy, próbując wykorzystać w tym celu jeńców egipskich. Kilku dowódców lądowych jednostek Izraela, posuwających się na półwyspie Synaj, celowo zwalniało jeńców egipskich, nawet nie odbierając im broni. Dlaczego? Dlatego, by poszli na Kair i „obalili prezydenta Nasera”.

Oczywiście, takich rozkazów nie wydawało jeńcom jawnie. Zachodnim dziennikarom, którzy chmarą ścigali do obozów armii Izraela, izraelscy oficerowie mówili: „Patrzcie, my nie likwidujemy jeńców, przeciwnie, wysyłamy ich za Kanał Sueski. Prowadzimy wojnę humanitarną”. Podobnie działało się również na froncie syryjskim. Izraelscy żołnierze gnali ewakuowaną z zajętych terenów Syrii do Damaszku, nakazując im „obalić kierownictwo partii Baas”. I jeśli agresorom

I ich możliwym protektorem, w pierwszej kolejności imperialistycznym kołom USA, nie udało się zrealizować swego celu, jest to głównie zasługa szerokiego mas pracujących ZRA i Syrii.

Naród egipski wiele osiągnął przez 15 lat swojej rewolucji. Przeprowadzone w ZRA reformy socjalne oznaczały dla pracujących poprawę ich bytu. Chodzi nie tylko o wprowadzenie plac zaspokajających przynajmniej pierwsze potrzeby robotników w mieście i robotników rolnych na wsi. Człowiek pracy w Zjednoczonej Republice Arabskiej przestał być potulnym „motłochem”, którego krwιά i potem przez setki lat budowano na brzegach Nilu bogactwa paszów i bejów.

Oczywiście, zasadnicze zmiany w ZRA dopiero nastąpią. Przemysł, współczesna gospodarka wiejska, faktycznie cała ekonomia narodowa — powstaje na nowo i to wymaga kolosalnych nakładów. Ale w ZRA zrodziło się przekonanie, że poprawa stanu się rzeczywistością w najbliższej przyszłości. Brak nadziei tak charakterystycznych w przeszłości, dla nastrojów egipskiej biedoty, zaczął zniknąć. Robotnicy i fellochowie uznali lipcową rewolucję 1952 roku za swoją. Świat pracy ZRA ma już czego bronić. Wydarzenia 9 i 10 czerwca wykazały to szczególnie jaszkawie.

Kiedy jeździliśmy po delcie Nilu, przebywaliśmy w Asuanie i Górny Egipt, mogliśmy na własne oczy ujrzeć jedno z podstawowych osiągnięć rewolucji. Wszędzie widniały kolumny nowych zakładów przemysłowych, których liczba przekraczała 800. Oczywiście, były one przedmiotem szczególnej dumy Egipcjan. Kraj rolniczy przekształcał się we współczesne państwo, w którym przemysł stawał się wiodącą dziedziną ekonomiki. Po dokonaniu przez armię lipcowym przewrocie 1952 roku, w Egipcie codziennie otwierano nową szkołę. Było coraz więcej wykształconych ludzi. Jeśli można tak powiedzieć, zmieniali się sami Egipcjanie. Ale nie wszyscy.

Opowiadano nam, że w niespokojnych dniach wojny, poszczególne członkowie fanatycznej organizacji religijnej „Bracia Mużulmanie”, których działalność została zabroniona, zaczęli się potajemnie spotykać. Jak widać, za wcześnie jeszcze, by całkowicie skreślić z ewidencji tę organizację!

W przededniu rewolucji w ZRA „Bracia Mużulmanie” stanowili partię liczącą dwa miliony członków. Sekret jej wpływów zamykał się w bardzo sprytnym łączeniu otwartej demagogii politycznej ze spekulacją na uczuciach religijnych ludzi. Po wojskowej porażce na Synaju nastroje takie były szeroko wykorzystywane przez te wszystkie siły, które chciały całą winą za wydarzenia obarczyć postępowy ustrój istniejący w kraju.

W Kairze mało kto wierzył na serio w możliwość odrodzenia się drugiej, masowej, do czasów rewolucji partii „Wafd”, kierowanej przez burżuazyjno-obszarnicze koła. Ale czy wielcy i średni burżuazyjni feudalowie, których poważnie ścieśnia rewolucja, zdążyli się przeobrazić? Czy wśród pewnej części inteligencji, a także w poszczególnych warstwach drobnej burżuazji całkowicie znikły nastroje na rzecz burżuazyjnej „demokracji” parlamentarnej, o którą zabiegała partia „Wafd”?

Mówiono nam, że kiedy Naser ogłosił swoją rezygnację, w wielu mieszkaniach, wciąż jeszcze, jak w czasie wojny na zewnątrz zaciemnionych, jaskrawo zapłonęły kryształowe żyrandole; ich właściciele, pochodzący w większości z tych eksploatorskich klas, które uszczupliła rewolucja, wznosili toasty „za szczęśliwe zmiany”.

Ale szczęśliwe dla reakcji zmiany nie nastąpiły ani w ZRA, ani w innych arabskich krajach. Zagrożenie dla postępowego ustroju zostało zażegnane. Egipskiej i syryjskiej reakcji nie udało się na tym etapie wykorzystać zaistniałej sytuacji, na korzyść własnych interesów; co niewątpliwie przyczyniło się w znacznym stopniu do storpedowania planów Izraela i planów tych, którzy kryją się za jego plecami.

Przełożył z rosyjskiego:

BOLESŁAW KOWALSKI

KATEDRY Czy insty- tuty?

Na marginesie dyskusji o sprawach
szkolnictwa wyższego

Po paroletniej przerwie sprawa struktury i pracy wyższych uczelni ponownie weszła na szpalty gazet i czasopism, przy tym w dyskusji wiodą prym przedstawiciele nauk technicznych. Charakterystycznym rysem zdań, opinii i propozycji jest szukanie organizacyjnego „wszechmodelu”, który by ogarnął wszystkie wyższe uczelnie i odpowiadał tak silnie zróżnicowanym dyscyplinom jak humanistyka, nauki przyrodnicze, czy nauki techniczne.

Rozwiązanie jednorodne dla wszystkich szkół wyższych niewątpliwie leży na linii intencji czynników administracyjnych, pozwala bowiem na ujednolicenie przepisów, zarządzeń, żądania opracowanych według jednakowych dyrektyw sprawozdań i zesta-

wień statystycznych. Forma i szablon wysuwają się wówczas na plan pierwszy, treść skromnie wlecząc się w ogonku.

Nagromadzenie egzaminów w czasie sesji semestralnych na kierunkach technicznych czy przyrodniczych, które wynika ze specyfiki procesu nauczania na politechnikach, zostało przeniesione do różnych dziedzin humanistyki powodując spływanie wiadomości, krótkotrwałe pamięciowe oprowanie faktów i ocen z podręczników, przy niedostatecznej znajomości literatury pomocniczej.

Nawet rubryki studenckiego indeksu zostały dostosowane do potrzeb szkół technicznych, a nie studiów na kierunkach humanistycznych, czy ekonomiczno-prawnych.

W dyskusji nad organizacją szkół wyższych „frontalny atak” został skierowany na rozproszone, wąskoprotokowe, autonomiczne katedry, które, zdaniem dyskutantów, powinny ustąpić miejsca większym jednostkom organizacyjnym — zespołom i instytutom. Ten dyskusji sugeruje czytelnikowi, zwłaszcza temu mało zorientowanemu w organizacji wyższych uczelni, że stan „rozproszenia” istnieje w uczelniach wszystkich typów.

Jak wynika z „Informatora Nauki Polskiej na 1967 rok” strukturę luźnych, niezależnych katedr reprezentują u nas właśnie wyższe szkoły techniczne. Natomiast na uniwersytetach już od lat działają instytuty, zrzeszające katedry jednej dyscypliny naukowej.

Na odcinku nauk historycznych działają obecnie instytuty zrzeszające wszystkie katedry zajmujące się historią i naukami pomocniczymi historii w uniwersytetach: warszawskim, jagiellońskim, łódzkim, poznańskim i toruńskim. Istnieją na niektórych uniwersytetach także instytuty geograficzne, zoologiczne, fizyki teoretycznej i fizyki doświadczalnej, a nawet historii sztuki czy muzykologii. Jednakże proces tworzenia instytutów nie ogarnął wszystkich uniwersytetów, a ich organizacja w różnych ośrodkach jest różna.

Istnienie instytutu stwarza poważne udogodnienia dla pracy katedr. Pozwala bowiem na urządzenie wspólnej biblioteki, zakup aparatury, z której korzystają wszystkie katedry, organizowanie międzykatedralnych seminariów, podejmowanie prac w zespołach, przygotowywanie do druku książek pisanych przez kilku autorów.

Przy dzisiejszym rozwoju nauk technicznych, wydaje mi się, że osiągnięcia w zakresie techniki i gospodarki narodowej są

w znacznej mierze możliwe tylko przy pracy zespołowej i to przedstawicieli różnych dyscyplin technicznych. Tymczasem humanista nadal tworzy w zasadzie indywidualnie i prezentuje dorobek własny, a nie zespołu.

Podczas gdy w naukach technicznych w zakresie metod i form badawczych nastąpiła „rewolucja”, warsztat humanisty nie wiele zmienił się od czasów Lelewela, Bobrzyńskiego czy Smoleńskiego. Gesie pisma, a później stalówkę zastąpił długopis, ręcznie robione wyciągi z dokumentów i druków — fotokopie i mikrofilmy. Lecz monografia, szkic czy artykuł są nadal i pozostaną wynikiem pracy indywidualnej, co najwyżej skorygowanej w trakcie dyskusji, a uzupełnionej w polemice.

Mielimy niesławny dla historii okres tworzenia „prac zespołowych”. Poza piękną nazwą kryło się w istocie wykorzystywanie, prawda że ulamkowe, ale tym nie mniej cudzego dorobku. Asystenci czy adiunkci otrzymywali wówczas płatne „zamówienie” na tzw. referat materiałowy. Opracowywali wazutki wycinek tematu przygotowywanego do druku pod firmą katedry lub zakładu.

W oparciu o referaty materiałowe, tylko częściowo uzupełnione, a czasem i nieuzupełnione badaniami własnymi ukazywały się „działa” podpisane imieniem i nazwiskiem jednej osoby. Na których tam stronie wstępu znajdowało się zwykle zdawko we podziękowanie z wymienieniem nazwisk tych, którzy ułatwili napisanie pracy.

Tego typu praktyki na pewno nie doczekają się reaktywowania. Natomiast prace zespołowe w zakresie historii są jak najbardziej potrzebne. Napisanie dobrego podręcznika, skryptu czy monografii o charakterze syntetycznym powinno być wynikiem pracy kilku specjalistów, z tym, że każdy z nich „firmuje” swoim imieniem i nazwiskiem odpowiednią część książki. Zresztą tak pojęta praca zespołowa znajduje odbicie w szeregu publikacji, które ukazywały się w ostatnich latach. Na pewno istnienie instytutów historycznych sprzyja powstawaniu tego rodzaju dzieł.

Czy istnienie instytutów wyklucza potrzebę istnienia katedr? Coraz częściej słyszy się, że zespoły powinny zastąpić dotychczasowe katedry. A może chodzi po prostu o wprowadzenie nowej nomenklatury?

Podział na katedry na takich samych wydziałach nie był jednolity we wszystkich uniwersytetach. Decydował dobór ka-

dry specjalistów, czasem względy personalne, czasem zaawansowanie prac badawczych. Nie zawsze struktura katedr odpowiadała potrzebom dydaktycznym, tak samo jak szkolenie w nadmiarze specjalistów pewnych kierunków, odbywało się kosztem deficytu pracowników w innych niemniej ważnych działach nauki. Nie potwierdza to jednak tezy o zbedności katedr jako jednostek naukowo-dydaktycznych.

Na pewno dotychczasowy podział na katedry, np. na historię, jest sprawą dyskusyjną, ale pozostaje konieczność utrzymania w ramach instytutów specjalizujących się jednostek organizacyjnych, które będą prowadziły pracę naukową, a równocześnie realizować cele dydaktyczno-wychowawcze.

Poza tym szkolenie młodej kadry naukowej musi pozostać obowiązkiem katedry, bądź jak chcą niektórzy — zespołu badawczego, a w jej ramach osoby odpowiedzialnej za pracę danego doktoranta.

Humanistyka przeżywa okres coraz bardziej postępującej specjalizacji swych przedstawicieli. Jeszcze na przełomie XIX i XX wieku ambicją niemal każdego bardziej uzdolnionego profesora było ukoronowanie pracy naukowej wydaniem podręcznika obejmującego szerokie ramy chronologiczne. Dziś jest to praktycznie niemożliwe, a przy gotowywany zarys obejmuje najczęściej co najwyżej kilkudziesięcioletni okres. Ten argument także przemawia za tworzeniem zespołów składających się z 2-3 samodzielnych pracowników nauki, (docentów i profesorów), związanych wspólną acz wąską tematyką badawczą.

Poruszyłem tylko niektóre aspekty bogatej problematyki organizacji szkół wyższych. Stanowią one dowód, że istniejącego stanu nie można uważać za zadowalający. Lecz równocześnie nie należy wpadać w skrajność i w pośpiesznie zaprojektowanym modelu widzieć uniwersalny lek na wszystkie bolączki szkół wyższych.

Wydaje się, że różnych typów szkół wyższych (uniwersytety, politechniki, szkoły rolnicze, akademie medyczne) nie można włączyć w ramki jednego schematu organizacyjnego. Należy uwzględniać specyfikę nauk humanistycznych, matematyczno-przyrodniczych, prawno-ekonomicznych, technicznych i lekarskich stworzyć kilka modeli, których przydatność naukowa i dydaktyczno-wychowawczą potwierdzi praktyka.



Z tekstu L.T.F.

Fot. Zdzisław Bubak.

Nożycami przez PRASĘ

ŚWIĘTE SŁOWA

Nie po raz pierwszy KTT, felleonista „Kultury”, pomstuje przeciwko krytyce literackiej, która nie zauważa książek chętnie i mile widzianych przez czytelników, książek wywierających wpływ na kształtowanie świadomości. Tym razem na przykładzie „Słoneczników” Haliny Snopkiewicz, z którym zapoznał się przypadkiem.

„Można przytoczyć z naszego powojennego dorobku kilka tytułów książek, które przeczytali wszyscy, ale które jedynie półgębkiem odnotowane zostały przez krytykę, niepewna, czy godzi się o nich pisać i czy to w ogóle jest literatura. Głównym bowiem, jak się wydaje, zmartwieniem naszej krytyki literackiej jest to, czy książka współczesnego autora da się porównać do czegoś z klasyki — krajowej lub obcej, czy też raczej nie. Fakt, że czytelnik nie stosuje tych kryteriów, co nie znaczy bynajmniej, aby

książki nie kwalifikujące się do rzędu wielkiej literatury, nie kształtowały równocześnie jego umysłu i światopoglądu, wydaje się być dla krytyki literackiej obojętne. Zapewne dlatego właśnie krytyka literacka nie rozumie masowego czytelnika, a masowy czytelnik nie rozumie krytyki”.

Święte słowa! Przecież doświadczyłem tego, że pewien dziennikarz z Krakowa (powołując się na felleton Olgierda Terleckiego w „Życiu Literackim”) pragnie zrewidowania miejsce, jakie różni twórcy zajmują w naszej pamięci. Terlecki próbuje się domyślać, kogo należy z niej usunąć. Może Pola, może Syrokomle, Lenartowicza, Krzyszkowskiego, czy Konopnicką?

Powtarzamy tedy jeszcze raz: święte słowa KTT! A najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że KTT sam reprezentuje bogate możliwości krytykarsko-recenzentki, ma do dyspozycji łamy wielu pism, należy do komitetu redakcyj-

nego tygodnika „Kultura”, czyli ma wpływ na praktykę recenzentki tego pisma.

Wyrażamy przekonanie, że zde nerwowany KTT zakasze wreszcie rekawy i da budulący przykład innym krytykom.

OKAZJA

W poprzednim przeglądzie znalazły się uwagi „Życia Gospodarczego” na temat krytyki prasowej. I oto czytamy w łódzkim „Expressie” o oburzających praktykach budowlano-rementowych.

Doniesienie z Arturówka: „Dużym skandalem wydaje nam się sprawa brodzika budowanego w ub. roku na tym kapieliśku nakładem prawie pół miliona złotych. Brodzik miał odcinać maluchów od niebezpiecznej kapieli w stawie. Zamierzenie piękne, ale wykonanie... Ponieważ dopiero wyszło na jaw, iż brodzik nie nadaje się do użytku. Jak się okazało, tzw. odbiór odbywał się w grudniu, kiedy nie było możliwości zbadania stanu wykonania. Ba, śnieg był wówczas taki, iż nie można było z bliska obejrzeć inwestycji. Odebrano więc „w ciemno”. Teraz wykończona uważa się za zwinioną od wszelkich zobowiązań, choć robota jest co najmniej nie dokończona”.

Doniesienie z Chojen: „Podobnie jest z brodzikiem na tzw. stawach Jana na Chojnach. I z niego nie ma żadnego pożytku. Tak jak nie ma pożytku z budynku przystani i

wypożyczalni sprzętu. Choć znowu ma przyjeżdżać gotowy, dach ma dziurawy, tynki odpadają, drzwi nie chcą się zamykać, zapomniano o dokończeniu instalacji elektrycznej i wodociągowej. Instalacje piorunochronowa założono, ale na dachu nie umieszczono piorunochronu”.

Goście namawiamy Sz. Kolegów z „Expressu”, by doprowadzili sprawę do końca, czyli do zdemaskowania winnych, może nawet do procesu sądowego. Byłby to duży wagi czyn społeczny. Przydałby się taki proces, jako przestroga dla wielu innych, korzystających z bezkarności, beztrosko uprawiających marnotrawstwo.

STUDENCKA KIESKA

Oczywiście, kieska nie kieska. Studenci mogą korzystać z trzech rodzajów stypendiów: zwyczajnych, fundowanych przez instytucje i zakłady pracy, z naukowych. Te ostatnie niezależnie są od zarobków, przypadających na członka rodziny, wynoszą po 1000 zł miesięcznie. Student zobowiązuje się do ukończenia studiów pracować trzy lata w macierzystej uczelni.

Sytuacje stypendialna obszerne referuje Edwarda Opoczyńskiego w „Życiu Literackim”, posługując się danymi przeważnie z południowo-zachodnich regionów kraju. Jako materiał do ilustracji.

Do najatrakcyjniejszych należą stypendia fundowane, wy-

noszące ok. 700 zł, gdy państwo, czyli zwyczajnie stanowi 600 zł. Fundowane można uzyskać, gdy zarobek na głowę w rodzinie nie przekracza 900 zł, przy państwowych granicach, traktowana sztywnie, wynosi 700 zł.

A jednak na stypendia fundowane często brakuje chętnych. Wprost trudno pojąć, jak mało zależy instytucjom i zakładom na nasyceniu kadr ludźmi z wyższym wykształceniem, czyli na postępie. Oto w jakiej zachęcającej formie proponuje się stypendium:

„W myśl zaleceń Zjednoczenia zobowiązującego nas do złożenia oferty w najbliższej terytorialnie uczelni...”

Zdarza się wypadek, gdy przyszłym swoim pracownikom uniemożliwia się znalezienie zakładu. Fabryka Samochodów „Lublin” gorzowski „Lublin” itd. Bywa jednak i odwrotnie: zakłady oferują swoim stypendystom bezpłatne wczas. Najgorzej jest z uzyskaniem stypendysty w wypadku małych miejscowości. Autorka namawia, by właśnie stypendia fundowane przez zakłady z małych miejscowości, uatrakcyjnić.

Pula stypendiów zwyczajnych też nie jest wyczerpywana.

„Pod żadnym pozorem — przepisy są twarde — nie otrzyma stypendium student, w którego rodzinie przypada 701 zł „na

głowie”, ale za to w indeksie można doszukać się czwórek”.

Nie ma więc różnicy w traktowaniu lepiej i gorzej się uczących. Niemądre to! Wręcz szkodliwe.

Studenci mogą dorabiać. Zwiększa podczas wakacji. Ale znowu działają ograniczenia.

Innym istotnym problemem są mieszkania dla przyszłych absolwentów w miejscu ich pracy.

Autorka stawia szereg wniosków odnośnie uelastycznienia przepisów. Proponuje także szukanie innych rozwiązań. Przypomina, iż VII Kongres ZSP wysunął następujący projekt:

„Student — jeśli sobie tego życzy — otrzymuje pożyczkę na cały okres studiów (bez względu na wysokość dochodu na głowę w rodzinie). Jeśli student nie kończy nauki — zwraca pobrana suma w 100 proc., jeśli kończy z wynikiem dostatecznym — otrzymuje 30 proc. zwrotu, jeśli z wynikiem dobrym — 50 proc., jeśli z wynikiem bardzo dobrym — 75 proc. zwrotu. Jeśli kończy z wynikiem bardzo dobrym — ma darowany dług w 100 proc.”

Ten projekt, opracowany przez działaczy ZSP, wydaje się dobry. Ten, lub inny o podobnym założeniu; wypowiadając się na ten temat bardziej ścisłe, powinni ekonomiści, socjologowie”.

JAN OLECHNO

Czego pan Gilbert de Lannoy szukał w państwie Władysława Jagiełły?

Mimo że do Polski ściągali w średniowieczu liczni przybysze z różnych stron ówczesnego świata, posiadamy bardzo mało opisów podróży po naszym kraju, pochodzących z tych odległych czasów. Tym większą wartość posiada dla nas relacja Gilberta (Gilleberta) de Lannoy (1386-1462), znakomitego burgundzkiego rycerza, radcy i szambelana księcia Burgundii i późniejszego (1428) kawalera Złotego Runa z dwóch podróży. Jakże odbył on do państwa Władysława Jagiełły. Działo się to niedługo po wielkiej „grunwaldzkiej” wojnie z Zakonem Krzyżackim, już po pokoju zawartym przez obie strony w Toruniu, który jednak żadnej w pełni nie zadawał. Stosunki monarchii Jagiellońskiej z Krzyżakami wciąż były napięte, a Wielki Mistrz bez przerwy rosyłał wezwania i prośby, zabiegając o dyplomatyczną, zbrojną i pieniężną pomoc rycerstwa i dworów Europy zachodniej przeciwko Polsce i Litwie. Takie właśnie apele wysłano w początku 1413 roku między innymi do króla Francji Karola VI, księcia burgundzkiego Jana bez Trwogi oraz do co najmniej trzech rycerzy. Spośród Burgundów otrzymał imienne wezwanie także jeden z doradców króla i księcia, znany ze swych sympatii dla Krzyżaków, pan Hugo de Lannoy. Nie mógł on jednak ruszyć osobą do Prus, gdzie zresztą bawił całkiem niedawno, nakłonił więc do podjęcia ryzykownej, bądź co bądź, podróży, swojego młodszego brata, Gilberta.

Dla burgundzkiego rycerza wyprawa do Prus na pomoc Krzyżakom była w tych czasach nie tylko piękna przygoda. Zakon Krzyżacki, pomimo że utracił już nieco ze swej popularności, wciąż jednak cieszył się znacznym mitem wśród europejskiego rycerstwa jako ten, który — jak wierzą — walczy z „Saracenami”, „niewiernymi” w Prusach i na Litwie. Panowie ścigający na zew Wielkich Mistrzów z Europy zachodniej, nie znali, a nieznali zupełnie rzeczywistych stosunków panujących na wschodzie Europy, zazwyczaj w pełni wierzyli temu, co rozpowszechniała propaganda Zakonu. A Krzyżacy prawił o królu Władysławie Jagiełły — że jest poganiem, bądź fałszywym chrześcijaninem, o Litwinach — że są „niewiernymi”, „Saracenami” o Polakach — jako o złych chrześcijanach, czyniących na zębę prawych wyznawców wiary. Wbrew wszelkim kościelnym zakazom udzielających pomocy poganom, i troskliwe dbali o to, aby do zachodnich „gości” nie dotarły żadne informacje, które mogłyby zachwiać ich wiary w słuszność i sprawę Zakonu. Jest zupełnie zrozumiałe, że Polska i Litwa jak mogły, nierzadko skutecznie, stawiały opór całej tej propagandzie: rozsyłano listy, kolportowano ustne wyjaśnienia itd. Właśnie skuteczność polskiej kontrapropagandy należało głównie chyba zaważać brak posilków z Anglii po stronie krzyżackiej podczas niedawnej wielkiej wojny. Oprócz tych środków podejmowano inne: Jagiełło i Witold

chętnie widzieli w Polsce czy na Litwie rycerzy z Zachodu, pragnąc, aby ci na miejscu poznali, jak wygląda rzeczywistość. Wróćmy teraz do Gilberta. W marcu 1413 roku wyruszył on drogą morską z Ecluse, „aby podążyć do Prus, przeciwko niewiernym, w wojsku które panowie z Prus przypisują przeciwko poganom”, i przybył do Gdańska. Z zaciekleścią przypatrywał się miastu i nieznajemu krajowi i zapragnął się dowiedzieć, w jaki sposób znalazły się one we władaniu krzyżackim. Myślicie, że powiedziałano mu, zgodnie z prawdą, że przed około stu laty Zakon zdobył je siłą, podstępnie, na Polakach? Skądże, skoro Gilbert mógł zanotować: „Ow pruski (i) kraj należy do rycerzy w białych płaszczach z Zakonu Marii Panny (...). Był zaś ów kraj zdobyty dawniej mieczem na poganach z Litwy i Zmudzi”. Krzyżacy informatorzy umiejętnie skorzystali z okoliczności, że burgundzki gość nie miał najmniejszego pojęcia o stosunkach panujących w tej części Europy.

Z Gdańska Gilbert wyleciał do siedziby Wielkiego Mistrza — Malborka. Skoro dostrzegł, że Zakon nie jest jeszcze gotów do rozpoczęcia wyprawy wojennej, powrócił do Gdańska i udał się na zwiedzenie Danii. Już 1 lipca 1413 roku stanął z powrotem u ujścia Wisły i podał na obiad państwa krzyżackiego. W drodze powrotnej z Królewca dobiega go upragniona wieść, „że panowie z Prus gotują rejsze letnią przeciwko królom Polski i księciu Pomorza, którzy popierają Saracenów”. Wraz z liczną armią konnicy i piechoty Zakonu nasz rycerz wziął więc udział w czterodniowym napaści na Pomorze, a następnie w wyprawie na Mazowsze. Z zachwycem opisywał: „Następnie rycerze przybyli pod umocnione miasto o nazwie Polleaur (z pewnością Pultusk — A. F. G.), położone na Mazowszu, które było bardzo silnie szturmowane. I z trzech istniejących zdobyli siłą dwie jego bramy; mieszkańcy miasta bronili się jednak tak dzielnie, że poniosło tam śmierć i odniosło rany wielu mężów i w końcu nasi ludzie musieli się wycofać bez zdobycia miasta”. Środ rannych znalazł się również Gilbert — odniósł on postrzał w rękę. Po walce uroczyste pasowano go na rycerza. W tamtych czasach bowiem panowie burgundzcy wyżej sobie cenili rycerskie pasowanie z rak krzyżackich niż nawet od własnego monarchy. Zima 1413-1414 roku Gilbert de Lannoy, kiedy nie nadarzała się okazja wziąć udziału w nowej rejsie, znów jeździł po państwie krzyżackim, następnie zwiędził ziemie zmudzkie, podał do Nowogrodu i Pskowa, po czym udał się na Litwę. Odwiedził Wilno, stolicę owego „saraceńskiego” — jak głosili Krzyżacy — kraju. Nie bez zdziwienia zanotował, że w mieście tym znajdowały się chrześcijańskie kościoły, chociaż nie były one zbudowane z cegły i powiedział: „Zaś mieszkańcy owego państwa, są świeżej daty chrześcijanami, ochrzczonymi

na przekór panom z Zakonu Pruskiego i Inflanckiego i posiadają w większych miastach zbudowane kościoły, jak również buduje się je raz po raz po wsiach i jest w owym kraju Litwy dwadzieście (i) biskupstw”. Mniejsza o nieścisłości — to właśnie zdanie Gilberta świadczy szczególnie dobitnie o tym, że kiedy nacznie zapoznał się on z Litwą, przyszło jak banku mydlana przekonanie, że jest ona — jak to głosiła propaganda Zakonu — krainą najzupełniej pogańską. Wiara burgundzkiego rycerza w krzyżacką prawdomówność została poważnie zachwiana.

Przybywszy z dalekiej Burgundii odwiedził szmat ziem litewskich, był między innymi w Wilnie, w Trokach, spotkał się z księciem Witoldem, który robił na nim jak najlepsze wrażenie. Przekonał się, że nie jest to — jak głosili Krzyżacy — żaden „Saracen”, ale jak z podziwem zapisał — „wielce potężny władca, który podbił mieczem dwadzieście czy trzydzieście królestw bądź krain”. Nie jest wykluczone, że żywcem przyjechał z jakim spotkał się na Litwie, zachęcił Gilberta do odwiedzenia również i Polski. Po powrocie do państwa krzyżackiego postanowił on „wylecieć do królestwa Polski, do polskiego króla, aby obejrzeć jego dwór, państwo i kraj”. Udał się więc z Malborka do Torunia, skąd zwrócił się do Władysława Jagiełły z prośbą o głę, na mocy którego mógłby bezpiecznie doń przybyć. Był to konieczny środek ostrożności. Gilbert brał przecież udział w niedawnych walkach polsko-krzyżackich po stronie Zakonu. Skoro tylko rycerz otrzymał żądany dokument, przekroczył Wisłę i stanął w kraju, w którym rządził Władysław Jagiełło. Odnalazł króla w Kaliszu. „Podążyłem do pewnego umocnionego miasta — pisał — imieniem Callaz, w którym odnalazłem owego króla Polski i Krakowa, który przybył tu, aby oddać się polowaniu w swoich lasach i przebywał u niego osiem dni przez święta Wielkanocy (Wielkanoc przypadała w tym roku 8 kwietnia — A. F. G.). Także, ów król uczynił mnie zaszczyt i godnie sprawił przyjęcie, i zaprosił jednego dnia na wspólny i wystawny obiad, oraz zaprosił mnie do swojego stołu”. Burgundzki pan, który dobrze znał przesadną etykietę, obowiązującą na dworach Zachodu, poczuł się tym szczególnie zaszczycony.

Nie wemy czego dotyczyła rozmowa króla z Gilbertem, chyba jednak jakieś ważne sprawy polityczne, skoro Jagiełło na odjeździe wręczył gościowi nie tylko cenny podarek, ale i list do króla Francji. Dalsza droga de Lannoy prowadziła do Wrocławia i Pragi...

Gdańsk przybył on na Ruś Czerwoną, gdzie w Ożminach, w okolicach Lwowa, dnia 24 czerwca 1421 roku odnalazł króla Władysława. I tym razem przyjęto go jak najwyższemu, ze wszelkimi honorami, przez sześć dni zapraszano na łowy i uczy. Prowadzono rokowania polityczne. Jagiełło uznał Henryka V „dziedzicem i regentem królestwa Francji”, to jest przyjął do wiadomości układ stosunków między Anglią i Francją, ustalony traktatem w Troyes (1420), udzielił informacji o sprawach, które interesowały Gilberta, dał mu list polecający do „cesarza Turcji, z którym był sprzymierzony — przeciwko królom Węgier” — Zygmuntowi Łuksemburskiemu, „jednocześnie uprzedzając, że w krajach tureckich trwa właśnie wojna...”. Szczodrze obdarowany poseł wyruszył wraz ze swym orszakem do Włotowa „wielkiego księcia i władcy Litwy”, którego zastał w „Kamienich na Rusi” — wedle jednych badaczy — w Kamieńcu, według innych — w Krzemieńcu. Po od-

byciu rozmów Gilbert podążył w dalszą drogę do Kaffy i Konstantynopola. W Londynie stanął dopiero w 1423 roku. Misja Gilberta de Lannoy z 1421 roku przyniosła nikłe rezultaty. Plan podjęcia wspólnej wyprawy potęg europejskich przeciwko Turkom z roku na rok stawał się coraz mniej realny. Niemniej jednak wynikiem podróży Gilberta było nawiązanie polsko-angielskich „stosunków dyplomatycznych, które od tej pory znacznie się ożywia. Stało się to możliwe w warunkach, kiedy dwory Francji i Anglii doszły do przekonania, iż Jagiełło i jego poddani nie są żadnymi „dzikimi Saracenami”, jak ich przedstawiali Krzyżacy. Jak ich wreszcie uznać monarchie i państwa za poważnego i równego innym, potężnego partnera. Do zachwiania się zaufania kół dworskich i rycerskich Francji i Anglii do takiego obrazu Polski i Litwy, jaki kolportowali w Europie Krzyżacy, niewątpliwie przyczyniła się też owa pierwsza „przy-

watna” podróż Gilberta, podjęta na... zaproszenie Zakonu. W marcu 1423 roku nowy król Anglii, Henryk V, wystawił obszerny dokument. Pisał w nim, że jego ojciec wysyłał Gilberta w podróż, dał mu na drogę sporą sumę 200 funtów. Poseł zawiadomił z drogi, że w Pi-kardii został ze wszystkiego obrabowany, wobec czego monarcha ponownie przesał mu taką samą sumę oraz dostarczył szatę ze złotogłowi. Kiedy Gilbert powrócił do Anglii Henryk V, ten, który go wysyłał, już nie żył, jego syn zaś był niemowlęciem. Trafilony wyrzutami sumienia, poseł wyznał swą winę przed władcą nowego króla, kardynałem Henrykiem, a ten uwolnił go od długu i polecił spowiednikowi udzielić mu rozgrzeszenia. Gilbertowi to nie wystarczyło; zabiegając potem o przebaczenie winy i u-morzenie długu (który ofiarowywał się zresztą zwrócić) o samego króla, co uzyskał raz jeszcze wiosną 1443 roku. W tym celu monarcha wystawił omawiany tu dokument.



Z teki Ł.T.P.

Fot. T. Krzemieński

KONRAD FREJDLIH

TRYTON LUBI WODĘ

Wiedział, że nie napisze tej pracy. Patrzył na rozłożoną przed nim mapę Polski odszukując niebieską, podługną plamkę: jezioro Mozerowskie. Przekleste bajor! To bajor zagradzało mu drogę do magisterium.

Wyobraził sobie, że siedzi w łódce opuszczając do wody odważnik uwiązany na sznurku. Ile razy będzie musiał powtarzać tę czynność, aby od biedy poznać ukształtowanie dna? Monografia jeziora! Odłożył mapę; wiedział, że nie napisze tej pracy.

Wtedy przypomniał sobie maleńką gazetową wzmiankę, jakich pełno jest w dziennikach w okresie nadciągającej kanikuli. Chodziło o „Trytona”. Pod takim zagadkowym kryptonimem ukrywał się łódzki klub pletwonurków PTT-K.

Kiedy Jerzy Janczak zgłosił się na basen, instruktorzy patrzyli na niego jak na niebezpiecznego szaleńca. — A, to pan student? — zauważył któryś. — Znieście pan próbę, to będziemy gadać.

Próba nie była zbyt trudna dla człowieka, który jest jako tako oswojony z wodą. Skok z trampoliny, przepłynięcie dwustumetrowego odcinka. Jedyne pokonanie 25 metrów pod wodą wydało się wtedy Janczakowi prawie niemożliwe. Widział kłapiące uśmiechy gapiów i trochę się zaważał. Potem zaczerpnął głęboko powietrza i poszedł w zanurzenie.

Kiedy wypłynął, już nikt się nie uśmiechał. Potem instruktor poklepał go po ramieniu i to znaczyło, że próba wypadła pomyślnie.

Od tej pory przychodził tam często. Poznał zasady działania aparatu do nurkowania, dowiedział się, jaką funkcję spełnia reduktor — zmniejszył urządzenie regulujące ciśnienie powietrza, parę razy nurkował w masce z fajką w zębach. Klub był jeszcze w powijakach, brakowało pieniędzy i sprzętu, a zresztą wiele urządzeń można kupić tylko za de-wizy.

Nóż podwodny sporządził sobie sam, z korkowa rekojescia, aby wypuszczony unosił się na wodzie. Sam też skonstruował specjalną latarkę, hermetycznie zamkniętą jak szwajcarski zegarek. Podwodną kuszę po-mógł mu zrobić kolega klubowy. Wypróbował ją na podwórku: gumo-wa cięciwa daleko niosła metalową strzałę. Ale oporu wody ta strzała nie mogła pokonać.

Latem klub wysłał go na kurs szkoleniowy do Gdyni. Wtedy Jerzy

Janczak po raz pierwszy złożył na siebie aparat do nurkowania. Do-stał do ręki głębokościomierz, buso-lę i termometr odwracalny. Ten ter-mometr zresztą zgubił pod wodą i wiele czasu musiał stracić na jego poszukiwania.

Kiedy po raz pierwszy opuścił się głęboko pod zwierciadłem wody, nie czuł strachu tylko jakieś wstęcho-garniające zdziwienie. Minuty biegły, na głębokościomierzu odczyty-wał wysokość słupa wody nad so-bą, schodził coraz niżej i niżej bez obawy, że za chwilę zabraknie mu tchu. Tutaj, w tym środowisku, je-go ciało nie ważyło ani grama. Mogł zawisnąć w przestrzeni, tkwić prawie nieruchomo. Potem wyniósł się do góry, światło prawie go oślepilo, gdzieś z boku usłyszał ter-kotanie kultra, którym wypłynął na morze.

Podczas kolejnego treningu na Oksywii odkryli pod wodą wrak niemieckiego trałowca zatopionego dwadzieścia parę lat temu. Spuszcza-li się po kolei, dotykali burt porośniętych planktonem. Korciło ich, aby znaleźć jakiś odkryty luk i wejść do środka tej stalowej trumny, ale nikt nie zaryzykował. Sama odwa-ga nie wystarczy, potrzebne jest podwodne doświadczenie.

Janczak odjechał z obozu z jed-ną gwiazdką, osiągnął najniższy stopień instruktorski. Odjechał, aby zebrać materiały do pracy magiste-rskiej, której napisanie zmusiło go do zdobycia kwalifikacji pletwonur-ka.

Zatrzymał się w Mozerowie, osie-dliu, od którego jezioro wzięło swo-ją nazwę. Przyjeżdżają tu w sezo-nie letnicy i potraktowano go jak letnika. Wynajął mieszkanie w ma-

łym, murowanym domku, który na-leży do wdowy po byłym burmi-strze miasta Koła. Gospodyni wy-robiła mu protekcję u sąsiadów, mógł bez kłopotu nabywać w osie-dlu kury czy kaczkę. Ale Janczako-wi szybko sprzykrzył się taki wikt: marzył o spożyciu „normalnego” mięskiego obiadu. Dokuczał mu także brak łódki, bez niej badania dna będą się wlokły ślamazarnie. Jezioro Mozerowskie z trudem tyl-ko można odnaleźć na mapie, ale nie jest ono taką ostatnią kałużą. Ciągnie się na prawie osiem kilo-metrów, ma szerokość blisko kilo-metra.

Z pomocą przyszedł Janczakowi przypadek: spotkał dwóch zapalo-nych rybaków, którzy rozłożyli się z wędkami na brzegu. Chwalili so-bie pobyt w Mozerowie. Więc Jan-czak nie wytrzymał i poskarżył się na swoją dolę.

— Chciałbym dostać w swoje rę-ce ojca powiatu — zakończył mści-wie.

— Do usług — powiedział nieo-czekiwanie jeden z rybaków. Zafatwił łódkę i wikt. Badania jeziora trwały sześć ty-godni. Janczak wypływał na jezio-ro i opuszczał się pod wodę w ma-sce. Największe głębokości nie przekra-czały tutaj 8 metrów, aparat do nurkowania był więc zupełnie zbyteczny. Strukturę dna jeziora wy-macał prawie własnymi rękami. Tylko raz spotkał go niemila przy-goda: znowu zgubił odwracalny ter-mometr. Odnalezienie tej zguby było prawie niemożliwe, dno jeziora pokrywa gruba warstwa mułu. Ale cena wypożyczonego z instytutu O-ceanograficznego termometru zna-cie nie przekraczała możliwości studen-

ckiej kieszeni. Trzeba było podjąć poszukiwania. I znalazł go wreszcie, na największej głębi. Przez długi czas uważał to za swój największy podwodny sukces.

W następnym sezonie Janczak je-chał na kolejny kurs pletwonurków już jako magister geografii. Obozo-wisko mieli w Augustowie, więc ży-li na jeziorze Białym i na Wigrach, szło mu dobrze. Byli tam pletwo-nurkowie z całej Polski, toteż wy-padało urządzać zawody. Najpierw pływanie. Te konkurencje Janczak wygrał dla „Trytona”. Potem tor przeszkód, który jest niezłym spraw-dzianem umiejętności pletwonurka. Startowali bez sprzętu. Po przepły-nięciu 10 metrów mieli zejść na głę-bokość 5 metrów i pod wodą zająć na siebie aparaty. Czekali ich 6 bramek, dalej była „studnia” z metalowych prętów, dwunastome-trowa. Tam, na jej dnie powinni odpiąć aparaty i wynieść się z nim na powierzchnię holując je w reku przez następnych 150 metrów.

Skończył. Już po kilku sekundach był przy aparacie. Odkreślił zawory pozwalające wydobywać się powie-trzu i włożył ustnik. Nie śpieszył się, odszukał karabinkowy i dopiero wtedy głęboko odetchnął. Poczuł, że łyka wodę. Przeklnął ją spokoj-nie i znowu spróbował odetchnąć. Wtedy zrozumiał, że się dusi. Zola-dek miał pełny i w płucach ani od-robinę powietrza. Jeszcze raz spró-bował. Przebłyśnięciem świadomości pojął, że się topi. Aparat był uszko-dzony. Gdyby wiedział o tym od-początku, znalazłby może jakąś ra-dę. Teraz było za późno.

Na szczęście z brzegu dostrzeżono to szamotanie pod wodą. Skoczyli mu na pomoc. Kiedy się ocknął, zo-

Pocztówka

Z

ALBIONU

Słoneczniki, duże, prawie naturalnej wielkości, ściśnięto okrągłą ścianą naczyń, w którym umieścił je malarz, sprawiają wrażenie wieńców: wysuwają blade, przystryżone głowy spoza krat oplecionych promieniami słońca, które jednak nigdy nie przepala żelaznych, mocno wbitych w mur prętów. Słoneczniki są duże i ciężkie. Wydaje się, że całą ścianę przechylały w stronę pustej pośrodku sali z woskowa podłoga. A ja stoje przed tym obrazem, który widziałem już tyle razy, Turner, Goya czy nawet Velasquez ze swoją znaną, pociętą kiedyś przez sufrażystki „To aleta poranna Wenus” nie zaskakują aż tak bardzo, co więcej — nie rozczarowują przy bezpośredniej konfrontacji z oryginałem. Dlatego odchodzę od słoneczników Van Gogha. To jest tylko pierwsze wrażenie. Postanawiam, że wrócę tu jeszcze jutro.

W hallu jest kiosk z pocztówkami, przy którym tłoczą się turyści. Słyszę jak ktoś zupełnie głośno i wyraźnie mówi po polsku. Spoglądam w tamtą stronę. To dwaj młodzi elegancko ubrani mężczyźni. Zastanawiam się, które pocztówki wybrać na pamiątkę pobytu w londyńskiej galerii. A ja w dalszym ciągu myślę o „Słonecznikach”.

Wychodzę na taras i schodzę na dół w stronę ruchliwej w tym miejscu ulicy. Na niebie od czasu do czasu pojawiają się chmury, podświetlone słońcem zatrzymują się nad Trafalgar Square i powoli odpływają na południe. Wokół kolumny Nelsona krąży gołębie. Przy schodach prowadzących do galerii Narodowej stoi siwowłosy mężczyzna. Obok rozłożył swój kramik: małe drewniane stołki z wysokim oparciem, na którym rozwiesił kolorowe pocztówki.

Jest prawie upał i zupełnie się nie czuję, że zaledwie kilka minut temu nad Londynem przeleciał deszcz, odświeżył trawiane kołami samochodu dół i butami przechodniów ulice, zmył kurz z soczystozielonych liści drzew i tak samo dyskretnie jak się pojawił — wycofał się w stronę morza.

Podchodzę do sprzedawcy.

Gwardzista na koniu. Gwardzista przed pałacem Buckingham. Piccadilly Circus, Tower i Tower Bridge. A w samym środku portret królowej. Złota korona, czarne włosy, niebieskie, poważne oczy. Opala na twarz. Naszyjnik z pereł. I w uchu też pereł. Bardzo czerwone usta. A wszystko to na jasnoróżowym tle.

— Ile kosztuje królowa? — pytam z uśmiechem.

— Cztery pensy — odpowiada poważnie starzec.

Podaje mi cztery jednopensowe monety, białe królową i wchodzi na górę po kamiennych schodach. Zbliżam się na sam brzeg tarasu i siadam na występie koło kolumny. Stać jest teraz podo mna. Odwraca głowę i spostrzega mnie. Stoi nieruchomo jak przedtem. Nagle pochyla się, zbiera pocztówki, układa je w dużym rozsuwanym pudle i składa stołek. Zarzuca sobie cały ten kram na plecy i wolnym krokiem rusza w stronę Trafalgar Square.

Trzymam w ręku królową patrzy na mnie poważnym wzrokiem. Kąci jej warg drgają jak gdyby leciutko w porozumiewawczym uśmiechu.

Wyjmuję z kieszeni wieczną piórko, wyciągam lewą nogę do przodu, aby kolano nie sterczało mi pod brodą i wygodnie układam na nim pocztówkę z królową. Miejsce przeznaczone na korespondencję z napisem „Post card” jest jeszcze puste. Powoli zaczynam wpisywać same cyfry, jedna za drugą, bez znaków przestankowych. To data. A pod nią dużymi drukowanymi literami: LONDON. Zamykam to wszystko w kwadracie, a pod nim:

Gwardzista królowej mierzy czas krokami zielony zapach rzeki łączy strony świata.

Siedzę jeszcze chwilę nie zdecydowany, widzę dwa piętrowe autobusy jadące w stronę Soho, wreszcie szybko wypisuję swoje imię, nazwisko i adres. Podkreślam dwa razy słowo „Poland” i biegnę na róg ulicy w poszukiwaniu skrzynki pocztowej. Znajduję ją dopiero na Charing Cross Road. Niewielką czerwoną skrzynkę ustawiono na dość wysokim murem postumencie. Z boku jest automat. Wrzucam cztery pensy i otrzynuję znaczek. Także z królową, ale tym razem jej portret jest mały, czarno-biały, wciśnięty wysoko w prawy róg, bo trzy czwarte powierzchni zajmuje kolorowy statek i podpis pod nim: „International Geographical Congress”.

Po wrzuceniu pocztówki, już uspokojony zaglądam się w północną część miasta. Na jezdni tłok, przepychają się samochody, witryny sklepów atrakcyjnymi towarami przyciągają wzrok spieszących się ludzi. A przecież dawno temu były tu pola, woda i kępy

py drzew, wśród których uwijał się myśliwi polujący na dzikie kaczki i na zajace. „SO! HO!” — pokrzykiwali nawołując swoje psy. W oddali na wzgórzu stał wiatrak...

A teraz jako ślad po wiatrakach pozostała Great Windmill Street, a z okrzyku myśliwych — nazwa najbardziej kosmopolitycznej dzielnicy Londynu.

W Soho, w ciasnych i wąskich uliczkach prawie jeden na drugim siedzą, ciśnie się, sklepy, sklepiki, bary, puby, bistro, restauracje. I chyba tylko tu Anglię są mniej szczerą narodową. Wśród wieloletniego tłumy Chłopców, Hindusów, Węgrów, Polaków, Ukraińców, najliczniejszą i najaktywniejszą jest niewątpliwie kolonia romańska: Francuzi, Włosi, Hiszpanie i Portugalczyki. Można ich tutaj spotkać prawie wszędzie. Ich restauracje są najbardziej gwarne, z ich sklepów dochodzą najgłośniejsze okrzyki. Na rogach ulic, przywiezionym z Półwyspu Apenińskiego zwyczajem, Włosi potrafią stać bezczynnie całymi godzinami. Od czasu do czasu z hukiem przejeżdżają wtedy zmotoryzowani długowłosi Rockersi oraz ich antagoniści — Modsi.

Wieczorem zapalają się uliczki Soho. Zapalają się światła. W kafejkach, pubach i bistro leje się wino. Tu załatwia się różnego rodzaju nielegalne interesy. Tu się handluje narkotykami i strączy dziewczyny. Tutaj mają swoje kryjówki gangsterzy. Właśnie w Soho zupełnie legalnie handluje się pornografią.

Oto jeden z takich sklepików. Wielkość lokalu — około piętnastu metrów kwadratu.

Drzwi są szeroko otwarte, a towar jest eksponowany prawie na chodniku. Każdy może znaleźć tam coś interesującego. Przynajmniej tak zapewnia sprzedawca. Al bumy (czarno-białe i kolorowe) wypełnione są nagimi dziewczętami w różnych pozach. Blondynki, brunetki, Murzynki, mulatki, Japonki. Biedra szczupłe i tuste, a piersi — od najmniejszych, aż do nieprawdopodobnych wprost rozmiarów.

O paniach także nie zapomniano. Jest tam dla nich cała kolekcja nagiętych mężczyzn o rozmaitych odcieniach skóry, bardzo bądź też mniej męskiej budowy ciała. Biali, Murzyni, mulaci... Są też pornograficzne filmy, książki i czasopisma. Zresztą sprzedawca chętnie, a nawet natrętnie służy swoją pomocą.

— Niech pan weźmie ten. To jest bardzo ciekawy album — mówi do mnie. — To wcale nie jest pornografia. To fotografia artystyczna. Harrisa. Na jego wystawie był nawet znany francuski aktor filmowy Michael Simon. Wyrzucił się o niej z uznaniem. O, widzi pan, tu jest jego zdjęcie i podpis. Tanie. Trzy i pół szylinga. Bierze pan?

Na ulicy przed zakładem stripteasowym dopada mnie wysoki blondyn w smokingu. — Mam nadzieję, że wstąpi pan do nas. Jestem pewien, że nie będzie pan żałował. U nas są najpiękniejsze dziewczęta z Soho. Piękne i nagie. Seans kosztuje tylko dziesięć szylingów. Jeżeli któraś z nich panu się spodoba, mogą ułatwić spotkanie...

Kilka kroków dalej spotykam naganiacza z firmy konkurencyjnej. Ten jest bardziej energiczny, ale mniej elegancki. Operuje po obu

stronach uliczki. Z uśmiechem się kłania, wskazuje ręką wejście i oświetlone już gablotę, w której umieszczone są zdjęcia dziewcząt tylko z przepaskami na biodrach.

A ja nie mam ochoty na striptease, jestem głodny i muszę coś kupić na kolację. Ale zamiast spożywczego spotykam inny sklep z wielkim szyldem na spotkanie przechodniom: „NON — STOP STRIPEASE”. Przed nim stoi mulatka ubrana w strój do konnej jazdy. Przygląda się idącym i mówi:

— Wchodźcie, panowie! Zobaczcie dziesięć zupełnie nagi dziewcząt. One wszystko wam pokażą. Niczego przed wami nie ukryją. Wchodźcie, panowie, warto!

Widzę, że niektórzy dają się namówić. Wchodzą przez jasno oświetlone wąskie drzwi prowadzące do niewielkiej sali.

Obok „NON — STOPU” — włoski sklepik spożywczy. Stoje w nim już parę minut, bo przede mną wszedł inny mężczyzna z kilkuletnim chłopcem. Sprzedawca w białym kłtu wybiegł zza lady. Ale to nie na moje spotkanie. Najpierw wpadł w ramiona mężczyzny, potem ucałował dziecko, by znowu, krzyżując z zachwytem, potrząsać dłońmi przybylego. Widać, że Włosi nie mogą się sobą nacieszyć. Patrzę ze smutkiem na wypełniające sklepik wiktualia ściągnięte tutaj nieomal z całego świata. Spostrzegam wielki pręt salami, a koło niej znamą mi kiełbasę z angielskim podpisem: „polish sausage krakow ska”.

Idę w stronę Złotego Skwe ru. aby wy dostać się z Soho. Po drodze spotykam nieco osobliwy kramik, które go pomieszczenie wypełnione

jest aż po sufit starymi gazetami. Angielskie, rosyjskie, arabskie, chińskie. Niektóre są pożółkłe ze starości i by odgadnąć ich wiek niekoniecznie trzeba patrzeć na datę. Na jednym ze stosów widzę zakurzone numery „Przekroju”, „Wiadomości”, „Życia Warszawy”. Ogładam je z zainteresowaniem.

Sprzedawcą jest stary Żyd, ubrany w chałat i jarmulkę. — Pan z Polski? — pyta. — Tak.

— A ja z Radomia...

Po małym targu kupuję u niego „Życie Warszawy” sprzed miesiąca. Daję mu sześć pensów.

— Sześć pensów to prawie darmo — powtarza, kiedy wychodzę.

Zbyt wiele czasu tracę w tym Soho, myślę i przyspieszam kroku. Nad drzwiami niektórych domów pała się światła, jak małe porozumiewawcze znaki. Tam obok dziewczonk można czasem znaleźć niewielkie tabliczki przeważnie z „chodliwymi” francuskimi imionami takimi jak Ivonne, Jeanette, albo po prostu „artist's model” (modelka). Jeżeli ma się kilka zbędnych funtów w kieszeni, wystarczy nacisnąć, by być przyjętym przez dziewczynę...

Ale jest także inne Soho, Soho zamożnych mieszczan, właścicieli luksusowych lokali, Soho prawowitych i solidnych obywateli, którzy pewnego dnia zbuntowali się przeciwko złej sławie ich dzielnicy i zorganizowali swoją listę „ruch oporu” o oficjalnej nazwie — Stowarzyszenie Soho. Stowarzyszenie to ograniczyło się jak dotąd do reklamowania swojej imprezy — Tygodnia Soho, będącej jeszcze jedną atrakcją przyciągającą bogatych turystów.



Z teki E.T.F.

Fot. Zenon Gorzkiewicz

baczyl nad sobą pochylone twarze kolegów i instruktorów.

— No, bracie — powiedział któryś i nie dokończył.

Potem, kiedy już całkiem oprzytomniał, Janczak podniósł się i do kładnie obejrzał pochowy aparat. Okazało się, że z ustnika wysunęła się rura doprowadzająca powietrze. Chłepcząc wodę pełnymi ustami nie zauważył tego w tej odrobnie czasu, jaką miał na zacerpnięcie oddechu.

Drugi raz przeżywał również niebezpieczną przygodę w Morzu Śródziemnym, nieopodal Nicei, w grocie po koralowcach, na głębokości 30 metrów. Ściany grotu porastały całe kolonie tych zwierzątek. Był to jakby bajeczny las, pletwonurek zatrzymał się porażony urodą podwodnego świata. Kiedy oszołomienie minęło, rzucił się, aby nazywać koralowych gałązek. Wiedział, że ma niedokładnie wyważony aparat — w oporządzeniu był nieco lżejszy od wody, ale wierzył w swoje siły. Nie oczekiwanie jakiś prąd uniósł go i przycisnął do sklepienia grotu. Janczak widział przed sobą występ skalny. Wiedział, że musi zanurkować, aby ominąć przeszkodę. Nie śpieszył się, starał się wybrać najbardziej odpowiedni moment do wykonania skoku. Potem odepchnął się od sklepienia. W tej samej chwili poczuł, że rura doprowadzająca powietrze wymyka mu się z ust. Był akurat, jak się to mówi w języku pletwonurków, „na wydechu”, szybko więc poczuł brak powietrza. Prócz tego paraliżowała go świadomość, że znajduje się w grocie, nie mógł więc ratować się gwałtownym wypłynięciem na powierzchnię. Trzeba było poszukać wysarpnięty

przez nieznana mu jeszcze siłę ustnik. Wiedział, że znajduje się w zasięgu rąk, ale nie mógł go wymanować. Tam, na końcu gumowej, karbowanej rury, z której uchodziło powietrze był ratunek, było życie. Janczak nakazał sobie spokój, ale ręce nerwowo rozbełtały wodę wokół ciała. Zrozumiał już, że nie odnajdzie ustnika. To był koniec.

I nagle ktoś chwycił go za rękę. Obecność innego człowieka przywróciła tonacemu na moment wolę życia. Powstrzymał się, ostatekiem sił, od zacerpnięcia do swych płuc morskiej wody. Wtedy ratownik wyciągnął swój ustnik i przekazał go u mierającemu z braku powietrza koledze.

Janczak przyssał się do końca gumowej rury, zacerpnął gwałtownie życiodajnego gazu. Jakby chcąc sobie wynagrodzić brak tchu, odechnął po raz drugi. Teraz, kiedy przestał się dusić, uspokoił się zupełnie. Przekazał koledze ustnik i znowu zaczął poszukiwania własnego. Znalazł go niemal natychmiast. Niebezpieczeństwo minęło całkowicie, ale Janczak nie zdecydował się na dalsze przebywanie w grocie. Wolno popłynął w stronę wyjścia. Chciał od razu, na miejscu, podziękować koledze za uratowanie życia, ale pod wodą nie można mówić. Krzyczęć też nie można i dla tego jego sytuacja w grocie była taka rozpaczyliwa: nie mógł zwrócić na siebie uwagi. Przypadkowo kolega dostrzegł jego usiłowania i dopadł go jednym skokiem.

Kiedy Janczak wypłynął na powierzchnię w pierwszym odruchu postanowił sobie, że więcej nie będzie już nurkował. Wielu pletwonurków po jakiejś niebezpiecznej

przygodzie obiecywało sobie to samo, ale tylko niektórzy rzeczywiście dotrzymali słowa. Następnego dnia Janczak znowu opuścił się pod wodę, chociaż nie odważył się już wypłynąć do pechowej grotu. Zadowolony się posęgiem za małymi ośmiornicami, które ratując się stawały w wodzie ciemne zasłony. Po tem nieopodal wejścia do podwodnej pieczary zauważył wolno sunącą rybę w kształcie cygara. Miała na oko ze dwa metry. Wiedział, że to rekin.

Janczak uchwycił nóż, wydało mu się, że słyszy bicie własnego serca. Trzymając nóż w pogotowiu pletwonurek zaczął się oddalać od niebezpiecznego miejsca i popłynął do kutra. Kiedy wchodził na pokład, rekin znowu się wynurzył.

Było to drugie spotkanie Jerzego Janczaka z rekinem, pierwsze miało miejsce na Adriatyku na głębokości trzydziestu metrów. Naszedł się ryba nie dostrzegła go, z podobnego spotkania rzadko wynika coś dobrego dla człowieka. Pod wodą człowiek często musi zapomnieć, że gdzie indziej przeważa.

Na pletwonurka czyha zresztą wiele niebezpieczeństw, nawet wtedy, gdy ta przewaga jest niewątpliwa. Na wodach Adriatyku u wybrzeży Jugosławii rozpowszechnione jest bardzo podwodne polowanie. Wykupuje się kartę licencyjną i można próbować swoich sił z mieszkańcami morza. Obowiązuje jednak zasada, że poluje się pod wodą bez aparatu, w samej tylko masce.

W pobliżu wyspy Uglian Jerzy Janczak opuścił się na głębokość 15 metrów mając w ręku podwodny nóż i tam zauważył linkę skośnie skierowaną w rozpadliny skalne. Wiedział, że linka ta przytwier

dzona jest do grotu, którym została trafiona jakaś ryba. Płynąc wzdłuż napiętej żyłki Janczak dostrzegł przed sobą ogromną murenę, rybę z rodziny węgorzy. Krwawiła. Krew wszystkich węgorzy jest niebezpieczna dla człowieka, jad mureny przed stawia jednak znacznie większe niebezpieczeństwo.

W jednej chwili Janczak przypomniał sobie, co na temat walki z jadowitymi rybami pisze się w podręcznikach podwodnych polowań. Wiedział, że musi przede wszystkim rozplatać murenie mięśnie pyska, aby zabezpieczyć się przed możliwym ukąszeniem. Ale uderzenie nożem okazało się za słabe. Ryba uchwyciła nóż, pletwonurkowi zaczęło się brakować tchu. Jego palce trzymające trzonek noża były niebezpiecznie blisko ostrych zębów jadowitej ryby. Naciśnął na trzonek i czuł, że uzyskuje przewagę. Wtedy wyszarpał nóż i wynurzył się na powierzchnię.

Tam, na wodzie, Janczak dostrzegł właściciela kuszy. Powiedział do niego: „Nawijaj” i żyłka zaczęła nawijać się na bęben. Zbliżył się do brzegu ciągle skracając linkę przynocowaną do grotu, który utkwiał w grzbiecie mureny. Potem zobaczyli rybę owiniętą wokół stalowej strzały. Żyłka jeszcze, ale stawała już bardzo słaby opór. Kiedy ją wreszcie wyciągnęli na brzeg, poddali rybę starannym pomiaram. Miała metr siedemdziesiąt długości, zupełnie przyzwyczajony łup jak na myśliwski debiut.

Te wszystkie podwodne doświadczenia przydają się Jerzemu Janczakowi zwłaszcza tam, gdzie nurkowanie przestaje być tylko sportem, gdzie staje się odpowiedzialną społeczną służbą. Jest bowiem człon-

kiem Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

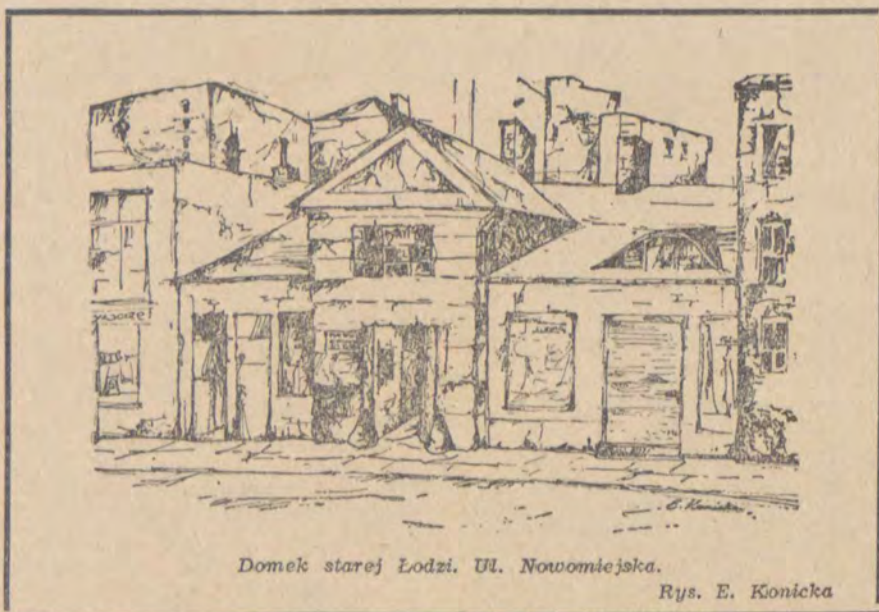
Wraz z grupą kolegów wyciągnął z dna basenu nieprzytomnego, na wpół już uduszonego mężczyznę, którego po wyczerpujących zabiegach udało się przywrócić do życia. Często Pogotowie to jest wzywane tylko po to, aby pomóc w odszukaniu topielca, którego już nikt i nie do życia przywrócić nie zdoła.

Rok temu w Warcie, nieopodal Radomska, utopiło się dwuletnie dziecko. To było w marcu, stan wody na rzece wysoki, wiał lodowaty wiatr. Pletwonurków powieziono specjalnym milicyjnym ambulansem. Kiedy wysiedli z wozu, spotkali tłum ludzi zebranych na brzegu. Woda płynęła ciemna, wzburzona. Pletwonurkowie naradzali się, chcieli zrezygnować z akcji. Wtedy z tłumy wyszli rodzice zaginionego dziecka, padli przed nimi na kolana.

Pierwszy wszedł do wody Janczak. Skafander łagodził zimno, ale ręce zeszytywały mu natychmiast. Przebadał blisko stumetrowy odcinek dna, kiedy poczuł łód obejmujący całe ciało — o podwodny kołek rozerwał skafander. Potem nurkowali inni, Janczak dał sobie słowo, że już nie wejdzie do wody. Popatrzył jednak na miotających się po brzegu rodziców dziecka i znowu zanurzył się w rzece. Akcja trwała cztery godziny i nie przyniosła żadnego rezultatu. Zrobiło się ciemno i pletwonurkowie musieli przerwać poszukiwania.

W ambulansie, który powoził ich do domu, rozebrali się do naga i zawinęli w kożuchy naszykowane przez milicjantów. Marzyli o łyku spirytusu.

— To była moja najokrutniejsza przygoda i największa moja klęska.



Domek starej Łodzi. Ul. Nowomiejska.

Rys. E. Konicka

STANISŁAW KASZYŃSKI

TEATR jaki mógłby być

Wezwany niedawno przez redaktora „Odgłosów” do wzięcia udziału w dyskusji nad sytuacją naszych scen dramatycznych na tzw. półmetku sezonu, nie skorzystałem wówczas z propozycji z prostego powodu. Sądziłem i nadal sądzę, że wymiana opinii na ten temat między krytykami, pozbawioną choćby akompaniamentu ludzi tworzących bezpośrednio sztukę teatralną, nie zda się na wiele i utnie na spisanie garści uwag, w najlepszym razie kilku postulatów. Tak też się stało, a jeśli dobrze pamiętam tym razem obyło się nawet bez postulatów, jedno wyłono nieco żółci, padło parę wstępników, może i iza jaka spłynęła gorzka. Ten i ów odetchnął następnie z ulgą. Miar kując po tym, że wszyscy zainteresowani odkładają się sobie, nikt się, co najistotniejsze, nie obraził. Nie przywiązuje również większego znaczenia w sensie przekształcającym do mojej wypowiedzi. Nie byłbym się zresztą odezwał, gdyby nie to, że „ujawni” się wreszcie ktoś z drugiej strony rampy: jest partner, wstępuję w szranki.

Ostatnio na zakończenie Międzynarodowego Dnia Teatru i jednocześnie w ramach sesji wyjazdowej Klubu Krytyków SDP odbyło się spotkanie z przewodniczącym Prezydium RN mgr E. Kaźmierczakiem; w czasie spotkania wystąpił m. in. Kazimierz Iwiński, szef łódzkiego Oddziału SPATIF. Uważam, że wypowiedź p. K. Iwińskiego (druk: „Odgłosy” nr 16 z br.), która oscyluje między informacją, oświadczeniem a deklaracją, wolno traktować jako głos rozważny, w pełni kompetentny, odzwierciedlający poglądy tutejszego środowiska teatralnego na żywotne i arcyważne zagadnienia, które stanowią także przedmiot troski nas wszystkich. Tak przynajmniej odebrałem te wywody, ich rangę zaś podnosi już sam tytuł: „Perspektywy łódzkiej teatru”. To zobowiązuje, wywołuje słuch i wzrok.

Na wstępie tej wypowiedzi czytamy, że Łódź to drugie co do wielkości miasto w Polsce, a jednocześnie przedmieście stolicy. Ostatni człon jest potrzebny, ażeby czytelnika przygotować do pojęcia skromnej przechwałki zawartej w trzecim zdaniu, gdzie powiada się, iż „tymczasem na peryferiach to i owo się dzieje”. Kolejne zdanie natomiast wręcz rozczarowuje, kurczy się bowiem w takim uniku: „Nie zamierzam zajmować się analizą działalności łódzkiej teatru”. Niepowetowana szkoda. Czyżby fałszywie poeta kurtuazja wobec gości powstrzymała mówcę od rozwinięcia tego pasjonującego tematu? Słmiem twierdzić, iż ten wypadły świadomie czy przypadkiem fragment enuncjacji zaciekawiłby ich najbardziej. Na dobrą sprawę po to przyjechali, aby oglądać na scenach przedstawienia przyjmować w szerszym kontekście, podbudować komentarzem, który wpro wadziłby w spłót stosunków i warunków, decydujących i rozstrzygających o efektach artystycznych. Dla krytyka dopiero konfrontacja obu szeregów informacji ma wartość poznawczą. Skoro zresztą jak czytamy dalej, „teatry nasze, oczekując na młodych gości, tak ułożyły swój repertuar, żeby pokazać to, co we własnym dorobku aktualnie uważają za reprezentatywne, za najbardziej godne uwagi”, to właściwie i nie trzeba upominać się o rozszerzające informacje, są zbyt liczne. Pojmuję też doskonale następujące wyznaczenie: „Z ogromną uwagą śledzić będziemy enuncjacje prasowe, które będą niewątpliwie wynikiem sesji krytyki”. Z dotychczasowych omówień wynika, iż na sze reprezentatywne spektakle nie spotkały się ze szczególnym aplauzem, przy jeto je taskawie, lecz z dobrodziejstwem coraz uboższego inwentarza. Jeżeli oficjalnie kwalifikuje się obecna produkcja naszych teatrów dramatycznych miarom osiągnięć okresowo maksymalnych, poniecham zgadywania, komu przyszedł do głowy iście nie-

przeplacony koncept organizowania hinc et nunc tej sesji.

Ale nie o to mi tutaj chodzi. Takie czy inne pogłosy sesji czy jakiegokolwiek zjazdów, ważne co prawda w aspekcie tzw. publicity, ustalającej poniekąd miejsce i znaczenie artystyczne środowiska, nie mają przecież mocy przeobrażającej. Jedyne ważne jest stan faktyczny, i jeżeli inni, z zewnątrz, potrafią nam pomóc w zidentyfikowaniu go, to może i dobrze, że zjechali się krytycy. Oceny, niezależnie od ich go ryzkowego czy słodkiego smaku, powinny być tylko kontrolnymi sygnałami. Bieda tym, co przyjmują je dosłownie.

Wróćmy do cytatów. Na czym zasadza się prawidłowy rozwój teatru? Jakże czynnik go determinują?

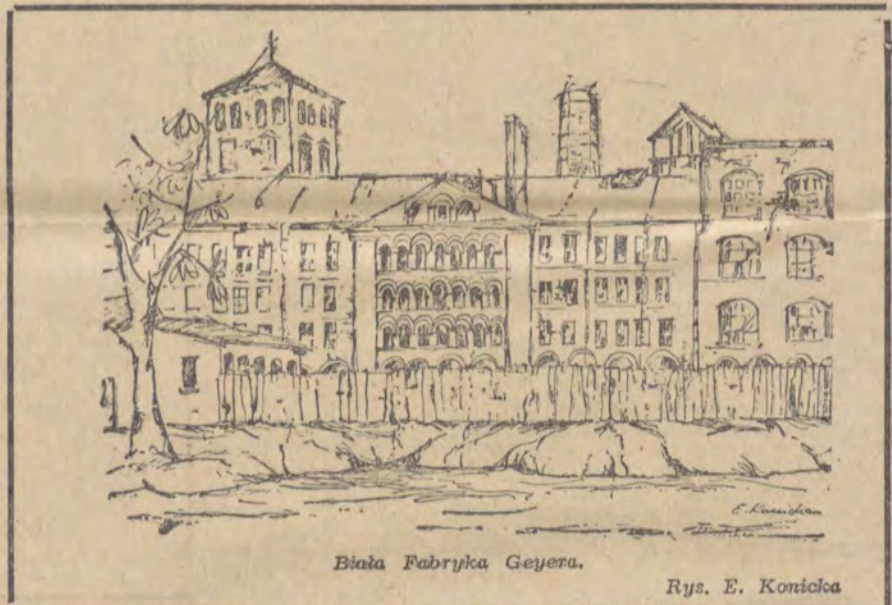
„Sprawą dla aktora najważniejszą — odpowiada przewodniczący SPATIF — jest repertuar, który kształtuje profil środowiska i osobowość aktora”, dowiadujemy się z kolei, iż „w Łodzi po powołaniu nowych władz Zarządu Stowarzyszenia podjęliśmy niełatwy trud rozszerzenia wpływu reprezentacji aktorstwa na sprawę repertuaru. Nie tylko wpływu, ale i za ten repertuar współodpowiedzialności”. Środkiem, który winien gwarantować stosowny wybór repertuaru, mają być dyskusje reprezentacji aktorskiej zespołu z kierownictwem teatru w ramach działalności rad teatralnych. „Fakt, że Stowarzyszenie nasze w rozmowach z grupą naszych dyrektorów znalazło wspólny język i życzliwe zrozumienie naszych intencji — jest dobrą prognozą działalności tych rad”.

Nie taimy radości czytając takie zapewnienie o wprowadzeniu kontroli nad do borem repertuaru. Może uda się wreszcie, przy mobilizacji wszystkich członków rady położyć tam krytycznym propozycjom i realizacjom, jakie bezkarnie powtarzają się szczególnie na scenach Teatru Powszechnego i Teatru im. S. Jaracza, w rodzaju scenicznej „Trylogii” i ramoty z Radziwiłłem, a które z niepojętą wprost beznadziejnością próbują nie tylko dyrektre, ale i Komisja Repertuarowa. Szacowne nazwiska autorów wymienionych sztuk absolutnie nie usprawiedliwiają grania w roku 1968 ich utworów, które, wydawało się, zeszyły bezpo wrotnie z naszych scen prowincjonalnych z początkiem tego wieku. Włączenie ich we współczesny repertuar jest wykładnikiem dezorientacji i słabości teatrów; czyżby np. Sienkiewicz miał ratować teatr przed malejącą frekwencją? Chyba nie. Podejrzewam raczej, iż dowodzi to po prostu nie najlepszej smaku. Widocznie wspomniane rady

nie zaczęły jeszcze działać, bo oto dowiadujemy się, że np. Teatr Powszechny przygotowuje dzieło pt. „Kawior i kaszanka”. Wyobrażam sobie, jak ludzie będą „walić” na te przysmaki. Maluczko, a dojdzie do tego, iż treść afiszów teatralnych będzie się pokrywała z treścią reklam branży garmatarniej. Czy trzeba aż tak schlebiać, a właściwie czy wolno tanimi chwytami reklamować wymi obrażać szeroką publiczność, tę samą przecież publiczność, która nieomal przez trzy lata chodziła na mroźkowe „Tango”. Sukces przedstawienia „Tanga”, więc nie tylko sukces autora, przekazuje, iż warunkiem powodzenia nie jest bynajmniej obniżanie tonu; byłoby to program minimum, urągający i tradycyjom łódzkiej Melpomeny i górującym tendencjom w tym zakresie, jakie obserwujemy na scenach działających także na prowincji. Proszę spojrzeć np. na repertuar, demonstrowany na 8. Kalskich Spotkaniach Teatralnych. Aż biją w oczy aspiracje w zainteresowaniach repertuarowych: Teatr Polski z Poznania przyjechał z „Achilleis” St. Wyspiańskiego, Teatr im. J. Osterwy z Gorzowa pokazuje „Zawiszę Czarnego” J. Słowackiego, Teatr im. A. Fredry z Gniezna — „Marię Magdalę” F. Hebbela, wreszcie Teatr Współczesny im. E. Wiercińskiego z Wrocławia — „Różę” S. Żeromskiego, gospodarze natomiast przy gotowali „Kordiana”. Wiemy, z czym wystąpiły dwa teatry łódzkie: wystąpiły z tym, na co nas aktualnie stać.

Przejęcie współodpowiedzialności za wybór repertuaru, zapowiedziane przez szefa naszego oddziału SPATIF, może oznaczać przełom. Prosimy: niechże ci, co zasiadają na owych naradach, wykażą troskę i rozważę, godne drugiego miasta w Polsce, a nie przedmieścia stolicy. Jakis kwadrans niech poświęcą omówieniu repertuaru dla dzieci, który jest lekceważony na ogół przez teatry, wznowiany po nie wiadomo który raz i to, według mojego rozeznania, nie ze względu na wybitne wartości artystyczne.

Wiadomo, że autentyczna twórczość teatru rozpoczyna się z momentem podjęcia realizacji utworu. Teatr określa się, to prawda, przez ambicje repertuarowe, lecz określa się rzeczywistość, i to rozstrzyga o jego wielkości i żywotności społecznej, przez wybór koncepcji ideowej, przez nowe ciągle hierarchizowanie i ustalanie wartości, prowadzące do aktualizującego oglądu człowieka w nurcie historycznym, określa się wreszcie przez styl, przez założenia estetyczne. Doremnie szukać podobnych rozstrząsań w cytowanym dokumencie. Stąd tytuł (Perspektywy) jest nieco balamutny, po prostu za wiele zapowiada. Trudno nie zgodzić się z maksymą p. K. Iwińskiego, iż „podnieść (...) autorytet środowiska można jedynie po



Biała Fabryka Geyera.

Rys. E. Konicka

EUGENIUSZ IWANICKI

Pomyłka GENIUSZA

Po roku 1917 znaczna część pisarzy rosyjskich opuściła kraj. Ideologia, którą głosiła Rewolucja, była dla nich obca, groźna, przerażająca. Nie rozumiejąc historii, drżeli przed tłumem szturmujących Pałac Zimowy, unikali ulic. Jako pisarze starali się wstrząsnąć sumieniem carskiej Rosji, przedstawiając w swych utworach zezwierzeczenie polityki, przekupstwo urzędników, grupę oficerów i rozpaczliwą egzystencję głodującego chłopstwa. Robotników nazywali braćmi i wołali o sprawiedliwość. Lecz gdy ujrzieli skłębione tłumy trutujące w marszu regularne oddziały wyszkolonej armii, gdy z mostów zrzucano do Newy wosatyich generałów, gdy domy pokryły się czerwienią flag, a bruk krwią — pisarze schorzyli. W popłochu, rozpaczliwie, niby pięknie i słabo ptaki odlecieli na Zachód, by tam przy kawiarnianych

stolikach zadawać jedno i to samo pytanie: co dalej?

Jednym z takich pisarzy był Iwan Bunin. Ród Buninów bierze swój początek na ziemi polskiej, znajduje potwierdzenie w rosyjskim „Herbarzu rodów szlacheckich”. Cytujemy wg zapisu samego Bunina: „Ród Buninów wywodzi się od Szymona Bunkowskiego, me- za szlachetnie urodzonego, który w XV wieku wyjechał z Polski, by służyć Wielkiemu Księciu Wasyliowi Wasylewiczowi. Jego prawnuk Aleksander Lawrientiew — Bunin służył Włodzimierzowi i został zabity pod Kazaniem. Stolnik Kosma Leon- tiew — Bunin został nagrodzony za wierną służbę i odwdę dobrami ziemskimi. Również inni Buninowie byli wojewodami lub wysokimi urzędnikami sprawując władzę nad licznymi wsiami.”

Tyle herbarz. Ta polskość często daje znać o sobie, chociaż Bunin nie usiłuje temu przeciwdziałać, ale też specjalnie tym się nie afiszuje. Jeśli wierzyć wspomnieniom W. Katajewa, nawet żona nazywała go po prostu Janem a nie Iwanem. Jedno, co mocno podkreślał przez całe życie Bunin, to swoje szlacheckie pochodzenie, co lrykowało niejednokrotnie Aleksandra Kuprina, wspomnianego pisarza, który także był szlachcicem ale po ka-

dzieli, co w carskiej Rosji uchodziło za niższy stopień szlachectwa. Zresztą Bunin lubił afiszować się starością rodu oraz tym, że w XVIII wieku zastąpiła go A. P. Bunina, a w XIX wieku zdobył ogólną sławę poeta dużej klasy W. A. Zukowski, syn dziadka Iwana Bunina z nieprawego łoża.

Bunin wychowany na wsi wśród chłopstwa i cieszący się długim szlakiem własnej drogi w literaturze, Pieśń przyrody i wiecznej miłości pisze wiersze przepełnione spokojem, optymizmem i wiarą w życie. Nawet w prozie, przyroda zajmuje bardzo ważne miejsce i wszystko, co dzieje się, jest niejako jej uzupełnieniem, dodatkiem, ornamentem. Bunin dostrzega nędzę, pisze o głodzie i cierpieniu, o upadku, upokorzeniu i rozpaczliwej najniższej klasie ogromnego imperium, ale pisze o tym z pozycji szlachcica. Tworzy koncepcję nie-rozerwalności klasy chłopskiej ze szlachtą, bowiem według niego, obie te klasy muszą przeciwstawić się wspólnie rosnącemu w siłę kapitalizmowi. W utworach Bunina dziedzie jest reprezentantem społecznej sprawiedliwości. Jest starszym bratem ziemianina i walka z kapitalizmem jest ich wspólnym obowiązkiem, ratunkiem przed zagładą. Bunin pragnie uratować stara ginąca wieś, która była dla niego uoso-

bieniem spokoju i szczęśliwości. Jako artysta umiał obudzić współczucie dla chłopów, ale w tym „współczuciu” nie było nic z protestu przeciwko społecznej krzywdzie. Taki był Bunin na początku naszego wieku i takim pozostał do końca. Uciekał w przeszłość, stał na uboczu wydarzeń, nie potrafił dostrzec siły narodu, przerażały go marsze i barykady.

A mimo wszystko był wielkim pisarzem, znakomitym stylistą, niezrównanym obserwatorem, badaczem ludzkiej psychiki. Wiele odziedziczył po swoich wielkich przodkach, a przede wszystkim dumę, pańskości i nieprawdopodobną zaręczalność. Gardził dekadentami, ledwo tolerował Lwa Tołstoję i Cze chowa, o Błoku mówił, że jego poezja, to poezja niemieckich ksiązek, o poezji Siewierianina, że jest lokalna, Achmatową nazywał prowincjonalną panną, a futuryści to po prostu przestępcy kryminalni i katorżnicy... A on? On jest tym jedynym, niepowtarzalnym wielkiem!

Jego sława rosła z nim samym, by po śmierci zapewnić mu miejsce wśród największych. A przed rewolucją sława jego była czysto kameralna, niemal powiatowa. Kiedyś obdarował pewnego dziedzica swoją książ-

ką. Po dwóch tygodniach, kiedy spotkali się znowu i Bunin ze skromnością zapomniał o wrażeniu, jakie wywołała jego książka, dziedzie odpowiedział: „Pewnego wieczoru, kładąc się do łóżka przeczytałem kilka stron i zrzuciłem ją zaraz na podłogę, mówiąc: Ach, boże, jak śmiałeś zabrać mi kwadrans odpoczynku!”

Bunin był złośliwy, ironiczny, zaczepny. Z latami stał się zgorzkniały, ale nie przestał czarować dowcipem, zadziwiać niezłomnością przekonań, pamięcią. Zanikł z literatury był korek- torem, tłumaczem, krytykiem teatralnym, bibliotekarzem, statystykiem, bednarzem, handlarzem książek. Dużo czytał, między innymi „Sone- ty krymskie” i „Pana Ta- deusza”, a nawet usiłował opanować język polski. Potem podróżował: Turcja, Mała Azja, Egipt, Syria, Palestyna, Iran, Algier, Tunis, Sahara, Cejlon, państwa Europy. W końcu ostatnia wędrówka — Paryż. Tu współpracując z pismami emigrantów, rzucił paszkwile na młodą Republikę Rad, oddaje swoje pióro i talent na usługi gracy politycznych, zapominając, że zawsze stał na uboczu wszelkich wydarzeń. Przestał być pisarzem, bo zabrakło mu własnej ziemi, skąd czerpał natchnienie. Utracił podniecie tak potrzebną dla twórcy, a zaczął po prostu marzyć,

wspominać, gimnastykować wyobraźnię. A jego nienawiść do radzieckiej ojczyzny była tak wielka, że dążył do zniszczenia nawet własnego wizerunku, jaki pozostał w pamięci przyjaciół i znajomych z okresu przed emigracją. Zgolił więc brodę i wąsy, upodobił się do zgrzy białego starca i z tą nową twarzą przyjmował z rąk króla szwedzkiego Nagrodę Nobla.

I choć był bogaty, bogaty w talent, w zaszczyty, umierał obcy, samotny, na skromnym tapczaniku okrytym materią narzutą. Umarł w szesnasty dzień sierpnia, w dzień 36 rocznicy Rewolucji Październikowej, kiedy ziemia rosyjska tonęła w kwiatach i płonęła milionami szczenych ogni. Nikt nie pamiętał w kraju o wielkim pisarzu.

Za życia marzył: „Nagrodek mój, to żelazna płyta wśród gęstej murawy... Przyjdę spocząć pod tę płytę, położyć się cicho, tuż z brzegu”. Wielki pisarz Iwan Bunin spoczywa na paryskim cmentarzu dla prawosławnych emigrantów pod krzyżem przypominającym krzyż georgijski i rzadko kto przychodzi go odwiedzać. W Paryżu krzyż z napisem „Prix Nobel” nie robi na nikim specjalnego wrażenia.

przez konkretną pracę — przede wszystkim we własnym teatrze (...), poprzez pracę, która jest celem i powołaniem aktora — poprzez coraz lepszy warsztat aktorski — coraz lepsze, doskonalsze przedstawienia" (podkr. — St. K.).

Jest to niewątpliwie szlachetne wyznanie, przykładna konstatacja, tyle że bardzo ogólnikowa, muskająca ledwie rdzeń kapitalnego problemu. Nie mogą atoli powstrzymać się od uwagi, iż enuncjacja, adresowana do fachowców, powinna unikać deklaracyjnego tonu, zakradł on się tutaj i obniżył tym samym wagę wypowiedzi. Już to, że umyka się od rzeczowości, nie podejmuje fachowej rozmowy, choćby roboczej analizy z najogólniejszą próbą oceny sytuacji w łódzkich teatrach dramatycznych, demaskuje jakoś to środowisko, poświadcza jego artystyczny niedowład. A może tylko zabrakło szczyty odważi? Rozumiem tę ostrożność, dyktowaną siecią różnorodnych uzależnień i z nich wynikających obaw. Solidarność zawodowa nakazuje przy puszczeniu taktykę półśówek czy przemilczeń. Cóż, c'est la vie!

Zaniepokoił mnie jeszcze jeden fragment wypowiedzi, a mianowicie ten dotyczący kulturalno-oświatowej działalności Stowarzyszenia. Odczytując ten długi passus — w sumie kilkadziesiąt linijek — zrazu z zaniepokojeniem podążamy szlakiem nie było jakich planów i zamierzeń Stowarzyszenia, co z tego, kiedy początkowy a niekłamany podziw dla inwencji, instynktu społecznego i pracowitości naszych aktorów przetrząsa się rychło w trwogę: czy aby podolają temu wszystkim? Czy starczy energii, aby wprowadzić w życie przynajmniej „część lichę” pomysłów, poczynił w ad hoc powołanej „sekcji inicjatyw”. Nb. znamem rozmaite sekcje, mniej czy bardziej użyteczne i ruchliwe ale żeby tworzyć aż sekcje inicjatyw w dodatku, „o własnym samorządzie i o szerokim zakresie działalności”? Nie, to już „szczytowa”, jak mawiają w niższych klasach licealnych.

Cóż tedy się planuje? M. in. organizacja teatryku małych form, pokazano już nawet z projektowanego cyklu „Raport z Mo nuchum”. A. Brychta, a w przygotowaniu znajduje się program kabaretowy, a ponadto „rapodycznie realizowany mały znany Norwid” (?), dalej wiecór pt. „Federico Garcia Lorca” i kilka jeszcze programów. Porozumienie zawarte między SPATIF a Oddziałem Łódzkim ZLP wymienia jeszcze dodatkowe akcje teatralne, m. in. Teatr Propozycji Polskiej Sztuki Współczesnej (do 6. V. br. odbyły się dwie premiery). Scenę Piosenki, Teatr Rapodyczny (ze szczególnym uwzględnieniem utworów antycznych). Po adaptacji sali restauracyjnej (w budynku, gdzie mieści się SPATIF) — „programy wyrosną” — jak zapewnia p. K. Iwinski — „jak grzyby po deszczu”. Niemal dotąd, że sztukę uprawia się poważnie („ze sztuką, jak z ptaszną, pomalutką”) a tu masz: jak grzyby po deszczu. A ów szeroko rozwinięty program tłumaczy się tym, iż winien on dać artystycz na satysfakcję aktorom, którym „nie wystarcza repertuar teatralny”.

Znowu wyznanie zastanawiające. Dowiadujemy się bowiem, iż nasi aktorzy nie znajdują satysfakcji artystycznej w macierzystych teatrach i muszą jej szukać w takich oto imprezach. Nie myśli się więc o zorganizowaniu studium gry aktorskiej, pomocnego w doskonaleniu rzemiosła, a tylko o akcji, która w zamierzeniu inicjatorów ma wzbogacać życie łódzkich środowisk artystycznych. Watpliwe to zaiste wzbogacanie. Ta akcja, jeżeli nawet zostanie w części przeprowadzona, przyczyni się wprawdzie do jakiegoś rozwinięcia umiejętności scenicznego, lecz działalność ta — bądźmy szczerzy — nie zastąpi w żadnym razie niezbędnej jakiejś pracy nad szlifowaniem warsztatu aktorskiego, możliwej przy maksymalnej koncentracji sił i to jedynie w warunkach studia. Nie postuluje, aby takie studio powstało, aktualnie nie ma bodaj w Łodzi ludzi, którzy by zechcieli się

podjąć takiego zadania, wydaje mi się, iż nikt nawet nie myśli o czymś podobnym; wnoszą przeto ten projekt pod rozważę „sekcji inicjatyw”. A przecież, obserwując bacznie, od premiery do premiery, pracę naszych aktorów w zespołach i w skali indywidualnych osiągnięć, nie można pozbyć się wrażenia, iż przeważa przeciętność, rzadko już poprawność, bardzo rzadko trafia się tzw. kreacja. W stosunku do starszych aktorów, dobrych znajomych ze sceny, powtarzamy ciągle te same uwagi, zastrzeżenie zresztą niegdyś zdobyte, nie mając wprost odwagi weryfikować ich z obecnym poziomem ich sztuki, lekając się może o rozczarowanie. Zwykliśmy mówić: pani X, pan Y, ach, ci dawno już się sprawdzili, muszą być — są! — w dalszym ciągu świetni!

Młodych (w Polsce młodość artystyczna przeciąga grubo poza czterdziestkę) wciąż obdarzamy kredytem zaufania, beztęplenie tłumacząc trudnym dzieciństwem a niakość i niedojrzałość — nieprzychylnymi, niezależnymi od nich warunkami.

O najmłodszych nie mówimy wcale, nie czym ciekawszym się nie wyróżniają, wnikają w szare tło, nie porównują nawet z największym atutem — młodością. Z tej grupy nie potrafilibym wymienić nikogo: nikogo nie zapamiętałem.

Co wcale nie oznacza, że np. idąc do teatru, nie ciesząc się naprzód, iż będą oglądać tego lub innego aktora, że ten i ów sprawią mi rzetelną przyjemność. Niemniej nie opuszcza mnie refleksja smutna: o ilez więcej satysfakcji mogliby nam dostarczać, gdyby...

„Gdyby” to cały problem, jak mawia pewien reżyser, problem złożony i skomplikowany, tym zawiłszy i trudniejszy do rozwiązania, ponieważ dotyczy nie tylko łódzkiego teatru, chociaż u nas występuje dość jaskrawo. Symptomy tego schorzenia, bo tak chyba należy nazwać to zjawisko, objawiają się w swoistym zrutyznizowaniu, w po-przestawianiu na zdobytych kwalifikacjach, w zuniforimizowaniu zawodu (stanu) aktorskiego. Sprzyja temu wadliwy system szkolenia, preferujący zajęcia teoretyczne i od-kładający do ostatnich lat studiów spraw-dziany publiczne zdobytych umiejętności, konserwuje następnie te bierność tryb pracy w teatrach, nie pozostawiający czasu na pogłębianie rzemiosła. Dlatego można jakoś i usprawiedliwiać ochotę do wyzywania się poza obrebn macierzystego teatru, jak-kolwiek nie tedy wiedzie droga do popra- wy sytuacji. Wreszcie utrwała opisywane zjawisko po części struktura organizacyjna teatru, uświadcza np. trwałość etatu człon ka zespołu bez względu na jego, aktora, aktualną przydatność; także przypisanie, wy-godne oczywiście dla ludzi mniej utalentowa-nych, wykluza płodną w teatrze rota-cję. Praca z aktorem wymaga nadto nie lada przygotowania. Aktor, aby mógł się w pełni rozwijać, musi przynajmniej od czasu do czasu pracować z wybitnym reżyserem. Nie myśli się o tym u nas. Może i myśli się o tym, dość, że na przestrzeni ostatnich lat nie zaproszono do Łodzi wybitnego re-żysera.

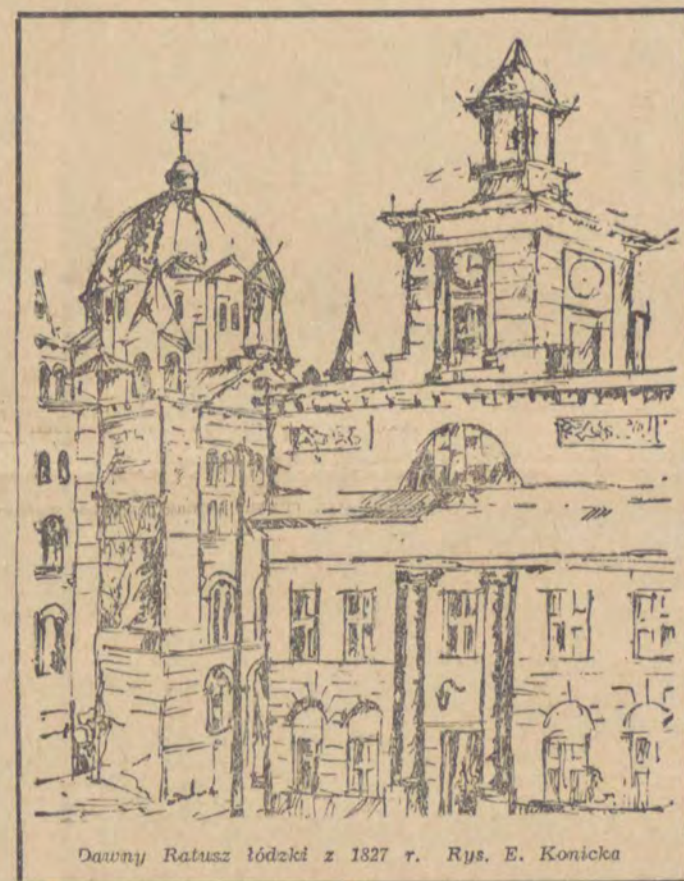
Daleko groźniejszy dla utrzymania status quo jest natomiast powolny proces jakby degradacji naszych scen dramatycznych ja-ko placówek artystycznych do rzędu punk-tów usług kulturalno-rozrywkowych. Przy podobnym pojmowaniu zadań, z okazjonal-nymi korektami na rzecz prawdziwej, nie-rzadko autentycznie zaangażowanej sztuki, w atmosferze samozadowolenia i uspokoj-eń, cenili się wyżej pozateatralne satysfak-cje; jeśli jakaś grupa nie kontentuje się profitemi „małej stabilizacji”, szuka natych-miast innego pola działania, które, o para-doksie, pod pewnymi względami dystansu-je nieomal pierwszą domeną działania, któ-ra jest, jak wiemy, macierzysty teatr. Wy-żej przywołany cytat upoważnia do takie-go wniosku.

Radeostwo jest niewdzięczną profesją, gdy bym jednak przyjął na siebie to brzemię — komu radzić?

Teatr jest sztuką zbiorowego aktu twór-czego, nie dosyć poprawić czy wymienić jeden element, aby uzdrowić cały organizm. Nie dość np. poprzestać na zastrzeżeniu kry-teriów wyboru repertuaru, gdyż najstarsza-niejszy, wzorowy zestaw utworów jeszcze nieczego nie załatwia, zdradza jeno aspiracje. Nie wystarczy też zaprosić znakomitego reżysera czy scenografa, ponieważ „wy-stępowicze” zdołają w najlepszym razie pod-nieść na jakiś czas nadwątloną reputację placówki, nie dokonają przecież radykal-niejszych przesunięć, a i nie po to ich się zaprasza.

Marzy mi się choćby jeden zespół prze-niknięty do trzewi i spójny rzeczystym programem artystycznym i społecznym, świadomy swej siły kształtującej i zdolny do szerokiego promieniowania. Powstanie rze-czonego zespołu w obecnych łódzkich wa-runkach przyrównać by można do obja-wienia się cudu, lecz póki żyjemy, nie tracmy nadziei. A nuż. W każdym razie pielęgnacja takiego ekscytującego marzenia służy za dowód konieczności jego materiali-zacji. A przedtem miast trawić zapal na znaczne w istocie rezerwy sił i czasu na wspomnianą akcję w całym wachlarzu form, rozsądniej byłoby inspirować i wspo-magać ruch amatorski, np. studencki, wyko-rzystując wszystką energię do twórczości w macierzystych teatrach. Nie wierzę, aby obsługiwanie tylu odcinków, nie licząc czę-stych „doskoków” do telewizji, filmu, ra-dia, imprez masowych itp., odbywało się z korzyścią dla sztuki. Jakis odcinek be-dzie niechcący zaniedbany, obcy tylko nie własny teatr. Będziemy zadowoleni, jeśli wytrzyma próbę czasu Teatr Propozycji, całkiem sensowna i potrzebna impreza.

Poczucie odpowiedzialności artystycznej, rozbudzone, jak sądzę, dostatecznie wśród ogółu naszego aktorstwa, nakazywałoby ku-mulację sił, integrację celów i środków. I warto też pamiętać, że rangę łódzkiego teatru, jego dobre albo złe imię, wyznacza-ją i będą wyznaczać dzieła, powstające wy-lącznie na scenach przy ul. Wępkowskiego, Zachodniej, Jaracza, Traugutta i Obr. Sta-lingradu.



Dawny Ratusz łódzki z 1827 r. Rys. E. Konicka

ADAM NONAS

„Tygodnik Łódzki”

W cyklu artykułów pod powyższym tytułem będę chciał przedstawić w porządku chronologicznym niektóre mające ambicje literackie, względnie czysto literackie, gazety i czasopisma, ukazujące się w Łodzi w okresie dwudziestolecia międzywojennego.

Dni Oświaty, Książki i Prasy są doskonałą okazją do przypomnienia, że pod tym względem nasze miasto może zaimponować, bowiem od roku 1863 do 1945 ukazywało się w Łodzi przeszło 800 różnego rodzaju pism. Są to jednak efemerydy, znaczna większość z nich nie wyszła poza 3—4 numery, a wiele poprzestało na pierwszym numerze.

Nie wyróżniały się także „długowiecznością” dwa pisma, które dziś prezentuję, noszące identyczny tytuł „Tygodnik Łódzki”.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego w Łodzi dwukrotnie pojawia się pismo o tym tytule. Pierwszy „Tygodnik Łódzki” otwierał galerię czasopism tego okresu, ukazywał się bowiem w roku 1918. Deklaruje się jako organ narodowy, społeczny, polityczny i literacki, a swoje cele tak określa: „Czy wolno nam wypuszczać z dłoni stender, na którym napisane jest hasło budzenia wśród mas poczucia państwowości polskiej, głoszone przez nas od pierwszej chwili, kiedy ja nam głosić pozwolono.

W tym celu rozpoczynamy obecnie wydawanie „Tygodnika Łódzkiego” jako organu społeczno-politycznego, oświatowego i informacyjnego. Celokształt tych zadań pragniemy wcielić w różnorodną treść sobotnich numerów”.

Działalność na polu literatury była jednak bardzo skromna, mimo zaproszenia do współpracy zarówno publicystów warszawskich jak i miejscowych. W każdym numerze znajdziemy artykuł wstępny na tematy polityczne i społeczne, przegląd

wypadków natury militarnej, wiadomości o prasie miejscowej, społecznej i zagranicznej, listy z Warszawy, felieton aktualny, dział sztuki (teatr, muzyka), przegląd ruchu wydawniczego, listy do redakcji, wreszcie do-niesienia z życia w kraju i na świecie, odpowiedzi redakcji i ogłoszenia. Z tematyki czysto literackiej na łamach „Tygodnika Łódzkiego” znalazł się jeden zaledwie artykuł Jana Stanisława Łapińskiego pt. „Zygmunt Krasiński w świetle wojny obecnej”.

Autor pragnie dowiedzieć, że twórcą „Irydona” przetrwał geniuszem zarówno Mickiewicza jak i Słowackiego, dzięki ogromnej przenikliwości i na-leży mu się chwalić za „miłość całej ludzkości, której przyszłe cierpienia przewidywał i ostrze-gał ja przed nimi w proroczym natchnieniu”. „Nieboska kome-dię” uważa Łapiński za genial-ne proroctwo, w którym autor przewidział wybuch wojny światowej.

Poza owym artykułem, znaj-dziemy jeszcze dwa wiersze: Ja-na Brauna „Przyjdź” oraz sa-tyryczny „Miłość łódzkiego ak-tora” będący aluzją do sezonu teatralnego 1917—1918 recenzję z „Czerwicy” Zapolskiej i ki-lka aforyzmów Oscara Wilde’a. To było wszystko co z dziedziny literatury zawierał redagowany przez Jana Grodka „Tygodnik Łódzki”.

Drugi „Tygodnik Łódzki” ukazywał się w latach 1922—1923. Odczytując w pierwszym nume-rze z 12 marca 1922 r. zna-lazła się deklaracja wstępna: „Do potrzeb swego organizmu Łódź nakłania wszystko i wszystkich. Kultura, sztuka, ba, nawet literatura do potrzeb tych stosować się mu-sza, o ile chcą być i trwać na łódzkim bruku. „Tygodnik Łódzki” będąc czasopismem bezpar-

tyjnym, apolitycznym i najzu-piełniej niezależnym, pragnie właśnie być tym łącznikiem pomiędzy sztuką i literaturą, a przemysłem i handlem. Stwo-rzyć specjalny tył czasopisma łączącego w sobie megalomani- wnym poniekąd marzeniem li-teratury i sztuki z handlem i przemysłem w zgodne stado, być nadto wietnym kronika-rzem i dać pełny wyraz odno-wieci czytelnikom zamieszo- wym, czym jest Łódź jej prze-mysł i mieszkańcy”.

Dział literacki jest tu nie-watpliwie dość bogaty. Szcze-gólnie dużo jest drobnych wie-rszów, często anonimowych i ta-kieli autorów jak: Andrzej Nullus, Jan Brochiewicz, Karol Malinowski, Henryk Zabor, Gwido Trzywda-Rakowski, M. Nostitz-Jackowski, St. Czosnow-ski. Jedynym bardziej znanym poetą, publikującym w „Tygod-niku Łódzki” swe utwory jest Aleksander Krasiński. Mniej jest natomiast prozy, ale za-równo ona jak i wiersze pozos-tają pod przemożnym wpły-wem Młodej Polski, i mają ty-powo nastrojowo — symboliczny charakter.

Przykładem tego są odcinkowe opowiadania redaktora pisma Adama Kowalewskiego-Sie-dleckiego „Kama-Loka”. Nie lekał się śmierci, czy Mleczysła wa Rysia „Złoty kołczyz”. Naj-większą wartość mają jednak artykuły literackie Henryka Liń-skiego, Stefana Borawskiego, Aleksandra Bolesława Cypsa, Tadeusza Kończycza.

Henryk Liński jest autorem krót-kiej rozprawy poświęconej utworowi Mickiewicza „Dar-czanka”. Wyraża w niej hi-storie powstania tego dzieła.

Stefan Borawski publiku-je dwa artykuły: „Egzotyzm w li-teraturze dzisiejszej”, w którym zajmuję się głównie Byronem i jego wpływem na innych pi-

sarzy oraz „Rosja sowiecka w literaturze polskiej” ograniczo-ny jednak zaledwie do dwu nazwisk: Kadena i Struga, za-kończony wnioskiem „Strug umiał spojrzeć na rewolucję, ja-ko na konieczność dziełową”.

Bolesław Cypś pozostaje wy-raźnie w kręgu Młodej Polski, której poświęca swe rozważania w dwu kolejnych numerach, ale więcej tam analizy poezji francuskiej niż polskiej. W tej sferze tematycznej pozostaje także artykuł Cypsa „Przyby-szewski a krytyka”, nie wno-szący nic nowego ponad to, że jest on twórcą niezrozumianym i niesłusznie zapomnianym. Trzeci artykuł Cypsa sięga do lat wcześniejszych, i nosi tytuł „Norwid a Faleński”.

Ciekawa jest próba prezenta-cji poety gruzińskiego Sero Kurułszwilego, dokonana przez Tadeusza Kończycza. Dla pełnego zobrazowania literackich poczynań „Tygodnika Łódzkiego” na-leży dodać jeszcze dwa wspo-mnienia rocznicowe. Jedno po-święcone jest 60 rocznicy uro-dzin Maeterlincka, drugie przy-pomina 25 rocznicę śmierci A-dama Asnyka, wreszcie krótka notatka w związku ze śmiercią Wiktora Czaiewskiego pod-kreśla jego zasługi dla naszego miasta. Oprócz literatury pismo zajmowało się także sztuką, muzyką, teatrem i kinem. Aktywność „Tygodnika Łódzkie-go” wyraźnie jednak malała. O ile w roku 1922 ukazywał się regularnie, to już w roku na-stępnym stałe się właściwie miesięcznikiem. Np. nr 3 z te-go roku datowany jest maj-czerwiec. W tym też roku pi-smo zakończyło działalność. War-te jest przypomnienia, jako jed-na z pierwszych prób ożywienia literatury w naszym mieście, zawierająca zarówno oryginalne utwory jak i artykuły krytycz-no-literackie.

Bez strachu

W MAJU...

W maju 1945 roku cho-rzy na gruźlicę więźnio-wie (od kilkunastu dni już ludzie wolni) Flossen-burga wypoczywali w sanatorium. Sanatorium bar-dzo przewidywano umiesz-czono w pociągach barakach — siedzibie daw-nych oddziałów wartowni-czych. Więźniowie leżeli ca-lymi dniami — wolność to była miska zupy z ryżem, nowe pomandurkowe ubra-nia, tabliczki czekolady. Widziane składniki wol-ności — jej naglewista treść powoli rysowała się w rozmowach, w powol-nych rozmowach ludzi cho-rych — lecz pragnących żyć, bo wolność była i ży-ciem — najpełniejszą po-stacią życia. Nawet ci, któ-ry umierali, doświadczali-ili okrucieństw wolności — umierali czysci — otoczeni opieką — ratowani do kon-ca. Śmierć w niewoli jest pełniejsza, jest brudna, jest ludzka — wolność oczyszcza-ła i ucłowieczała śmierć — czyniła ją zgo-nem... Silniejsi mogli we-drować do bawarskich wio-sek, z których przyniosli nam jabłka i wino, silniej-si mogli rozmawiać, pra-gąc, już w tych jęgo-mości, przysięgał samochodem, rozjeżdżał się i zapy-tał czego nam trzeba. „Ma-cie — mówił — żywność i odzież, ale to nie wszyst-ko — brak wam pienię-dzy. Silniejsi z was cho-dzą do wiosek i bija się z Niemcami, którzy nie chcą wam sprzedawać ja-błek — to wszystko moż-na załatwić”. Odszedł — tym który napisał pod-a-tych załatwił przydział ma-rek, tym który chcieli grać w karty dawał no-wutkie talie kart. Wracali wiele razy — był niewy-czerpanym źródłem ma-rek, papierosów, kart do-gry i życzliwości. Pewne-go dnia powiedział: „Tu-taj organizacja transportu do Polski. Otóż powin-nieście sobie zdać sprawę co obecnie zastanawia w Pol-sce — rządzi tam Osóbka — człowiek Rosji. Tym z-was, którzy brali udział w powstaniu, grozi aresztowa-nie, bez żartów, to są sprawy śmiertelne. Nie z tego czego się spodziewa-cie w Polsce obecnie nie zastanawia. Ci z was, któ-ry są katolikami, pozba-wieni zostana religii... Tu-taj postaramy się coś dla was zrobić...” wiele jeszcze było takich wizyt. „Tam nie dla was nie ma — nie, tam rządzi Osóbka”. Przychodzili inni — nie-ktożby poważnie rozważa-li możliwość powrotu — myśleli razem z nami. Naj-cieśniej jednak był przy nas ów mały niezumordowa-ny facet. „Tam teraz nie ma — nie ma do cze-go iechać”.

Więźniowie (tak sami jeszcze siebie nazywali, chociaż byli już wolni) myśleli o spalonej Warsza-wie, o ludziach w kraju, o owym nieznanym strasz-nym Osóbce. Mały facet był już codziennie — przynosił marki już bez uprzednio pisanych podań, katolikom obiecał spro-wadzić księdza, z ludźmi oby-jętymi religijnie odby-wali długie dyskusje. Od-nalazł kilku Żydów i cho-ciaż ich nienawidził spro-wadził dla nich innego małego faceta, który tak-że miał kieszenie pełne ma-rek i był namiątnym sug-etywnym mówcą, wciąga-jącym chętnych na jakieś złote listy. Mimo to wię-źniowie odjeżdżali. Od-jeżdżali, a mówili że wra-cają. W ciętym towaro-wym wagonie, leżąc na sianie myśleli o Polsce zburzonych domów, o Osóbce, o tych których może w przestrzeni zbu-rzonych domów odnaj-dą. Starzy Niemcy podchodzili do wagonów i prosili o chleb i papierosy, przekli-nali Hitlera i wyciągali ręce. Tam w tej przy-po-minanej i pomyślanej prze-strzeni każdy z wracają-cych odnajdował swoją me-kę i radość, autentyczną pracę, prawdziwą nie doro-waną żywności. Tam bę-dzie błogosławieństwo zwat-pleń i pewności. Był maj 1945 roku — więźniowie wracali tam gdzie było wszystko...

BERNARD SZTAJNERT

O teatr poszukujący

Dalszy ciąg ze str. 1

Opola), kabaret polityczny („Kandelabr” z Olsztyna), interesujący eksperyment w dziedzinie form plastyczno-dynamicznych (Studio Miniatur ze Szczecina) itd.

Repertuar był różnorodny i na ogół bardzo ambitny. Oprócz tradycyjnego już Mroźka, bijącego pozostałych autorów o co najmniej dwie długości, byli oczywiście i Różewicz, Czechow, Schulz, Genet („Pokojówki”), Greene („Spokojny Amerykanin”), Sacher-Masocha („Kobieta-demon”), Grass („Kot i mysz”) a nawet Marlowe („Edward II”). Warszawski teatr „Sigma” pokusił się o interesującą zresztą inscenizację „Księdza Marka” Słowackiego, dramatu z którym jak wiadomo nie bardzo potrafią się uporać teatry zawodowe. Bardzo ambitnym zamierzeniem repertuarowym jest wystawienie przez zespół „Gong 2” XVII-wiecznego misterium polskiego „Dialog na Święto Narodzenia”. Na malowniczym tle Barbakanu, pod obficie obsypanym gwiazdami niebem, przedstawienie to miało szczególny urok. Przedziwna mieszanina naturalizmu i nadrealizmu staropolskiego tekstu zaślania pełnym blaskiem. To było naprawdę przeżycie artystyczne dużej miary. Bardzo to pięknie, gdy teatr studencki sięga po zabytki narodowej literatury, przywracając im życie i młodość. „Dialog na Święto Narodzenia” całkiem zasłużył i prawie jednogłośnie otrzymał nagrodę dziennikarzy jako najciekawszy spektakl Spotkań.

Nie brakowało także na krakowskim przeglądzie dobrej poezji. Spektakle poetyckie prezentowały Kalambur („Futurystykon”) i STUL („Chimerogamy”). Świetnie recytowane wiersze usłyszeliśmy w nieodbyłym skądinąd „Oratorium rewolucyjnym”. Była także w Krakowie twórczość własna. Dwaj studenci łódzkiej PWSTiF Józef Gebelski i Antoni Halor napisali i wyreżyserowali teatrum o ambicjach historyczno-filozoficznych pt. „Elekcja”. Rzecz pouczająca i zabawna zarazem, inteligentnie skonstruowana. Próby tworzenia własnych dla własnych potrzeb pisanych tekstów dramatycznych uważa należy za zjawisko cenne i pozytywne w ruchu studenckim.

Niektóre przedstawienia krakowskich spotkań pokazywano podczas grudniowego przeglądu w Łodzi. M. in. „Wiosna”, „Dobrodzieja złoździ”, „Futurystykon”, „Za” itd.

Przedstawienia te były swego czasu omawiane na łamach prasy łódzkiej i nie ma sensu do nich powracać. Chciałabym natomiast słów parę poświęcić spektaklom, które mnie specjalnie poza wspomnianymi już „Dialogami na Święto Narodzenia” i „Księdzem Markiem” zainteresowały.

A zatem „Kot i mysz” — adaptacja powieści G. Grassa w krakowskim „Teatrze 38”. Znakomity przykład formuły teatru zaangażowanego, myślowego, poszukującego. Ciekawe a proste rozwiązania formalne akcentowały wymowę ideowo-polityczną przedstawienia, w którym dużo było łacie młodzieńczej pasji i szczerości. O zaangażowaniu dyskutowano sporo w trakcie krakowskich spotkań. Mówiono o tym, że teatr studencki z natury swej powinien być zaangażowany. Ale zaangażowanie nie oznacza ilustrowania prasowych aktualności ani szermowania wirtuozostwa frazeologicznego. Nie może stanowić formy szantażu moralnego przy pomocy którego przemycą się grafomanie i hochsztaplerstwo intelektualne („Nie będzie tanga”), ani też usprawiedliwienia dla złej literatury i nieporadnej interpretacji („Maszerować po rozum do głowy” — teatr Quant z Łodzi). Z uwagi na ciążące na nim odpowiedzialność moralną i społeczną, teatr zaangażowany musi odznaczać się szczególnie wysokimi walorami artystycznymi. W przeciwnym razie, jak zauważył jeden z dyskutantów, robi zła robotę, zawała sprawę, nie tylko nie przekonuje, ale i odstrasza widza. Teatr zaangażowany wymaga pasji i autentyzmu — mówiła o tym pięknie przewodnicząca jury Lidia Zamkow. Wymaga treści intelektualnych, które by trafiły do studenckiego odbiorcy, zmusiły do myślenia, do weryfikacji własnej postawy. Interesujące propozycje formuły teatru zaangażowanego, to poza „Kotem i myszą” — „Za”, „Futurystykon”, ale także i „Wiosna”, „Ksiądz Marek” i nawet „Dialog na Święto Narodzenia”. Sięganie do arcydzieła narodowej przeszłości, przypomnienie ich i nowe, współczesne odczytanie — stanowił wszak najlepsze świadectwo żywego związku z kulturą i tradycją kraju. Natomiast nieporozumieniem wydaje się przedstawienie „Maszerować po

rozum do głowy”. Bardzo niski poziom literacki tekstu obniża jego wymowę ideowo-polityczną. Ze sceny wieje nuda i wulgarność. Jest to formuła zaangażowania płaska i prymitywna mimo dobrych chęci ze strony „śluszerów”. Teatr studencki nie powinien wybierać łatwizny i tanioczy. Jedyna droga — to droga poszukiwania rozwiązań trudnych i głębszych, rzetelnych intelektualnie i artystycznie. Takich właśnie, jakie przynosi „Kot i mysz” — wnikliwe i madre oskarżenie faszyzmu, dokonane z prawdziwie humanistycznych pozycji.

„Kobieta-demon” Sacher-Masocha to popis aktorski studentów Krakowskiej PWST ale i ciekawa próba adaptacji i inscenizacji przeprowadzona w duchu Witkacego. Dużo inteligentnej i dobrej zabawy, pobudzającej do tzw. ogólnoludzkich refleksji. Jeżeliby szukać źródeł inspiracji aktualnego teatru studenckiego — to przede wszystkim tradycji polskiej, w Witkacym i Mroźku. I to chyba dobrze. Teatr absurdu wydaje się być bliski sercu akademickiej muzy. Ale nie tylko. Tu i ówdzie odnaleźć można wpływ teatru okrucieństwa, a także awan gardy radzieckiej lat dwudziestych. Kilka przedstawień nosiło wyraźne piętno oddziaływania teatru Grotowskiego. Niektórzy twórcy ulegają, nadto niebezpiecznej skłonności do efekciarstwa, pretensjonalności i udziwnień nie kryjących poza sobą żadnych myślowo-ideowych treści (m. in. Kandelabr, Teatr Osmego Dnia z Poznania itd.).

Ciekawy kierunek poszukiwań artystycznych zaprezentowało Studio Miniatur ze Szczecina w spektaklu „Parasol. Prometeusz”. Eksperyment szczeciński jest eksperymentem rzetelnym, świadectwem poszukiwania nowych form ekspresji przy pomocy takich środków jak światło, barwa, dźwięk, ruch, materia i ciało ludzkie. Daje to chwilami efekty bardzo piękne i odkrywcze (np. etiuda „Strach”). Autorzy ze Studia Miniatur traktują swego do tyczasowe doświadczenia jako źródło wzbogacenia możliwości wyrazowych teatru dramatycznego.

Na zakończenie kilka słów o teatrykach łódzkich. Niestety, nie wypadły one zbyt okazale. O Quancie, teatryku Politechniki — już pisałam. STUL pokazał „Chimerogamy” — program złożony z wierszy młodych polskich poetów, prezentujący nieja ko istotę młodości polskiej poetyki. „Chimerogamy” są moim zdaniem pozycją udaną, ale jako program wypełniający kameralny wieczór klubowy, jako forma intelektualnej igraszki. Na spotkaniach krakowskich, w konfrontacji z innymi spektaklami musiały wypaść blade. Teatr PWSTiF „Szkoła” jest zespołem debiutującym. Wystartował ambitnie i z rozmachem, ale nie wyzuwa się w nim jeszcze tej tak ważnej dla studenckiego teatru atmosfery zespołu zjednoczonego wspólną pasją i wspólnym credo. Podczas dyskusji wspomniano wielokrotnie o tradycjach „Pstrąga” i „Cytryny”. Fakt faktem, że ośrodki studenckiego ruchu teatralnego przebiegały się z Łodzi, Warszawy, Gdańska do Wrocławia, Lublina, Szczecina. Przemienność i dynamika jest pozytywną cechą tego ruchu. Nie mogę jednak zrozumieć dlaczego nie wysłano do Krakowa dobrego przecież przedstawienia „Śmierci na gruszy” Wandurskiego. To nie mały wydarzenie sezonu studenckiego. „Cytryna” nie stanowił wszak zamkniętego rozdziału dzieł łódzkiego środowiska akademickiego, ale pozycję żywą i aktywną, godną tego by reprezentować nasz gród.

MARIA KORNATOWSKA

WERDYKT JURY:

I Nagroda ex aequo dla Teatru STG z Gliwie za spektakl „Wiosna” i Teatru Kalambur z Wrocławia za „Futurystykon”.

II Nagroda dla Teatru Gong 2 z Lublina za spektakl „Za”.

III Nagroda ex aequo dla „Teatru 38” z Krakowa za spektakl „Kot i mysz” i Studia Pantomimy Szczecińskiej za spektakl „Isabelle” i „Sanatorium pod klepsydrą”.

Jury przyznało także nagrody indywidualne reżyserom, scenografom i wykonawcom.



Akt.

Fot. Gunnar Binde.

OBIEKTYW

Propozycja Ireny Eichlerówny

Przyznając, że tym razem chciałem poświęcić swój felieton któremuś z programów rozrywkowych. Zapotrzebowanie na rozrywkę telewizyjną jest wielkie, a — powiedzmy szczerze — dysproporcja między tym zapotrzebowaniem a próbami jego pokrycia daje się odczuć szczególnie dotkliwie.

W ramach programów rozrywkowych nadano 11 maja z Warszawy lekką komedię amerykańską Harry Connora „Roxy”. Ale już słowo wstępne wygłoszone przed spektaklem przez Witolda Fillera, sygnalizowało, że czeka nas rozrywka specyficzna, powiedzmy: nietypowa.

Zadecydowało o tym jedno nazwisko na liście wykonawców. Eichlerówna! Wystarczyło, że znakomita aktorka wystąpiła w jednej z ról — by najmniej nie głównej! — by całe widowisko zmieniło swój charakter i stało się jej beneficem.

Nie zamierzam napisać jeszcze jednego panegiriku na cześć Ireny Eichlerówny. Tych, aktorka miała już dosyć. Pragnę natomiast zastanowić się nad istotą zjawiska artystycznego, które stanowi Eichlerówna. Zjawiska z pewnością nie bezdyskusyjnego.

Eichlerówna ma znakomitą prasę. Wielu krytyków poświęciło jej kunsztowi aktorskiemu analityczne eseje. A przecież

poważną część publiczności nie rozumie i nie przyjmuje konwencji gry proponowanej przez aktorkę. Jej zaskakujące zaśpiewy, świadome przerysowania gestu i mimiki graniczą niebezpiecznie z manierą i sztucznością. Nie, aktorstwo Eichlerówny nie należy z pewnością do łatwych!

Weźmy dla przykładu jej rolę matki w „Roxy”. W przeciętnym wykonaniu postać ta byłaby z pewnością zabawna i nie więcej. Stało powtarzane wobec męża i córek te same zagrania, nie kończące się utyskiwaniem na zły stan zdrowia, śmieszne oburzenie z powodu konieczności poruszania się tramwajem („tramwaj-lem!”), a do tego wszystkiego despotyczny stosunek do męża i niesprawiedliwe traktowanie młodszej córki Roxy (której pokrewieństwo z bajkowym Kopciuszkiem jest aż nadto widoczne!) — oto wszystkie cechy, jakimi autor obdarzył postać matki.

Eichlerówna nie zadowala się takim zakresem roli. Sama stawia sobie zadanie o wiele szersze, syntetyczne. Zamierza poprzez postać matki skompromitować drobniomieszczańską mentalność, doprowadzając do ewidentnego absurdu jej pustkę wewnętrzną i minoderię. Zamiar ten aktorka realizuje konsekwentnie i tak bezkompromisowo, że wytraca zabawne cechy postaci,

szokuje widza przerysowaniami, zmusza do nie najwelszych refleksji.

Jakich używa do tego środków? Przede wszystkim nie wciela się w kreowaną przez siebie postać. Pozostaje sobą. Gra i jednocześnie jak gdyby przygląda się z boku efektom swych zabiegów aktorskich. Ujmuje rolę — jak to sformułował w słowie wstępnym W. Filler — w specyficzny cudzysłów, zaprawia ją ironią i kpina.

Nie krepuje się przy tym powszechnie przyjętą konwencją aktorską. Przypomnijmy sobie jedną ze scen „Roxy”, w której Eichlerówna przez cały czas dialogu zabawia się długim, muslinowym szalem. To zakrywa sobie nim twarz, to pozwala mu spływać na ramiona, to znów — wije się w jego splotach, jak w uściskach węzowych. Ni to bachantka, ni to hrabina Idalia z „Fantazego” Słowackiego. Zewnętrzny patos tego zachowania się podkreślił ma jeszcze na zasadzie kontrastu głupotę postaci.

Czy to wszystko, co napisałem, stanowi jednoznaczna pochwałę Eichlerówny za jej rolę w „Roxy”? Sam nie wiem. Pewny jestem, że takie ujęcie roli nie harmonizowało zupełnie z konwencją gry pozostałych wykonawców. Jeszcze trochę próbował nawinąć kontakt z Eichlerówną Mieczysław Pawlikowski w roli męża, ale była to chyba stawka z góry skazana na przegraną.

Oglądaliśmy benefis Eichlerówny, nie było natomiast „Roxy”. Pogodna i mało ważna, choć zresztą napisana komedia, gdzieś nam się zapodziała. Ugrzęzła w skrętach muslinowego szala, postużyła tylko za pretekst dla jednoosobowego popisu.

Można więc stwierdzić, że jeśli wystawienie „Roxy” w Teatrze Rozrywki TV miało nas w sobotni wieczór zabawić, to zamiar ten uległ całkowitej deformacji. Fascynująca i sugestywna sylwetka aktorska Eichlerówny przesłoniła wszystko i wszystko nagliła na swoją modłę, nieważąc humor i lekką rozrywkę.

Czy znaczy to, że wieczór był nieudany? Nie zdobyłbym się na takie stwierdzenie. Otrzymałabym w ekwiwalencie tak dużą dawkę aktorskiego kunsztu najlepszej próby, szafowaną szczerze, a nawet rozrzućnie, że zgrzeszyłabym ciężko, tego sobie nie ceniąc. Eichlerówna zaprosiła nas na prawdziwą ucztę. A że należy do tych pań domu, które zapraszając gości zaściągają i przesłaniają wszystkich, to już jest inna historia.

Dobrze, że w zróżnicowanym, nie poddającym się schematom świecie teatru mamy także i Irenę Eichlerównę!

Witold Filler

spektakle tygodnia

		spektakle widzów proc.		
TEATR WIELKI	„Zemsta nietoperza”	2	2552	100
	„Książ Igor”	2	2552	100
	„Pan Twardowski”	1	1276	100
	„Carmen”	1	1276	100
POWSZECHNY	„Baba-Dziwo”	1	660	100
	„Klub kawalerów”	3	1980	100
	„Radziwiłł, Panie Kochanku”	2	1150	94
NOWY	„Damy i huzary”	3	2100	100
	„Tkacze”	1	700	100
MAŁA SALA	„Gra miłości i przypadku”	2	360	90
	„Żeglarsz”	2	360	90
	„Szklana menażeria”	2	360	90
7.15	„Bliźniak”	5	1750	84
OPERETKA	„Dziękuję ci, Ewo”	6	6600	100
Teatr Ziemi Łódzkiej	„Pan Puntilla i jego sługa Matthi”	7	1997	100
	„Aszantka”	4	702	70
FILHARMONIA				
	2 koncerty symfoniczne 980 słuchaczy			80

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



SHERLOCK HOLMES W SZWAJCARII

Przez cały tydzień około stu londyńczyków przebywało w Szwajcarii odwiedzając wszystkie miejscowości, w których działał bohater powieści Conan Doyle'a, słynny Sherlock Holmes. Uczestnikami tej niezwykłej wycieczki byli miłośnicy genialnego detektywa. Przewodniczący stowarzyszenia sam odgrywał rolę Sherlocka Holmesa, ubrany jak tamten, z fajką w ręku wcielił się w postać umiłowanego bohatera. M. in. uczestnicy wy-

cieżki udali się w miejsc, gdzie Conan Doyle uśmiercił swego bohatera, fikcyjną postać, Sherlocka Holmesa w dniu 4 maja 1891 roku, po czym na prośbę czytelników musiał go znowu „ożywić”. Miłośnicy Sherlocka Holmesa udali się następnie do zamku będącego własnością syna powieściopisarza Adriana, gdzie, jak o tym pisaliśmy już kiedyś, znajdują się pamiątki po Conan Doyle'u i gdzie jest zrekonstruowany salon-laboratorium detektywa wraz z jego fajką na honorowym miejscu.

DZIEWIĘDZIESIĘCIU OSMU POETÓW AMERYKANSKICH PRZECIWKO WOJNIE W WIEJNAMIE

Także jest tytuł antologii poezji, zbioru wydanego ostatnio w Paryżu, w tłumaczeniu z

języka angielskiego na francuski. Antologia ukazała się w Ameryce w roku ubiegłym pod tytułem: „Where is Vietnam? American poets respond”. (Gdzie jest Wietnam? Amerykańscy poeci odpowiadają.) Zbiór zawiera 98 utworów, każdy reprezentuje jednego poety.

Twórcą antologii jest Walter Lowenfels. Urodzony w roku 1897 w Nowym Jorku, przebywał w latach 1920-30 w Paryżu wraz z takimi wybitnymi pisarzami amerykańskimi jak Hemingway i Miller.

Wiele z poematów i wierszy zawartych w antologii recytowanych było w Ameryce na imprezach poświęconych walce o pokój oraz na uni-

wersytetach w San Francisco, Filadelfii, Bostonie itd. Utwory wyszły spod pióra zarówno tak znakomitych poetów jak Allen Ginsberg czy Robert Lowell, jak i mniej znanych lub dotąd nieznanymi. I tak np. autorką jednego z wierszy jest czternastoletnia Julie Gibson. Utwory są różne zarówno pod względem formy jak i poetyckiego kunsztu, jedno wszakże jest wspólne dla wszystkich autorów reprezentowanych w antologii — postawa energicznego protestu przeciw wojnie w Wietnamie.

TEATR BUNRAKU

Paryski tygodnik „Le Figaro Littéraire” nazwał występ japońskiego teatru marionet-

tek Bunraku, jedynym z najbardziej fascynujących widowisk jakie można ujrzeć na świecie. Z entuzjazmem o tym teatrze wyrażają się także recenzenci innych czasopism. Bo też teatr Bunraku występujący w Paryżu, a po raz pierwszy w Europie jest bardzo oryginalny i bardzo egzotyczny.

Ten rodzaj teatru powstał w japońskim mieście Osaka i w swej obecnej formie ukształtował się dwa wieki temu. Jest to teatr marionetek, ale nie są to marionetki zwyczajne. Wysokość ich jest różna od 90 do 140 centymetrów, a najbardziej zadziwiające jest to, że każda lalka porusza nie tylko rękami i nogami, ale też mogą poruszać się jej oczy, brwi, usta, policzki, nawet nozdrza. Są to jedne marionetki na świecie, które mogą nawet samą mimiką oddawać całą, olbrzymią skalę nastrojów. Lalki te przybrane są w długie, barwne japońskie

stroje. W jaki sposób możliwe jest nadanie takiej ruchliwości, zwłaszcza twarzy, lalkom? Otóż każda marionetka obsługiwana jest przez trzech ludzi, którzy umieszczeni są za nią i których częściowo widać podczas przedstawienia, co jednak wcale nie razi widzów. Ludzie poruszający marionetką mają swe określone ścieżki zadania. Najważniejszym jest omosuku, który zajmuje się wyłącznie twarzą i prawą ręką lalki, pociągając za odpowiednie sznurki. On to między palcami wskaźnym i kciukiem prawej ręki trzyma sznurek poruszający całą głowę marionetki. Pozostałe palce tej dłoni służą do poruszania ust, oczu i powiek. W lewej ręce trzyma sznurki poruszające prawą ręką lalki. Wszystko to wymaga ogromnej zręczności, koordynacji ruchów palców obu rąk, zgrania z czynnościami, jakie wykonują dwaj jego pomocnicy i dużej siły fizycznej, gdyż niektóre lalki ważą około 20 kg. Drugi człowiek z obsługi marionetki nazywa się hidari zuka. Jego czynności muszą być znowu idealnie skoordynowane z ruchami omosuki i trzeciego animatora. Hidari zuka porusza lewą ręką marionetki. Wreszcie trzeci z obsługi, ashi-zuka, porusza nogami lalki, która może posuwać się do przodu, cofać itd. Podczas całego przedstawienia, gdy na scenie występują marionetki, a może ich być aż dwadzieścia jednocześnie, narrator recytuje tekst odgrywanej sztuki, a grywa się w tym teatrze starodawne dramaty, modułując odpowiednio głos naśladując mowę kobiety, starego lub młodego mężczyzny, kogoś o łagodnym lub gwałtownym charakterze. Równocześnie cały czas rozlega się muzyka o ostrych, wibrujących dźwiękach skoordynowana z recytatorem i akcją marionetek. Używa się instrumentu w rodzaju gitary o trzech

strunami, której klawiaturę nazywa się koto. Teatr Bunraku jest już w Japonii instytucją zanikającą. Ma coraz mniej widzów, a miasmo Osaka cofnęło dla niego subsydia. Aby poruszać lalkami trzeba aż dwudziestu lat nauki, więc młodzież nie garnie się do tego kunsztu. W ciągu 25 lat ekipa teatralna zmniejszała swą liczebność o połowę. Ludzie którzy pracują w teatrze Bunraku mają po 50, 60 lat, a narybku nie przybywa. Tak więc paryżanie mają możliwość obejrzenia teatru, który już niedługo przestanie istnieć, a który w obecnej formie narodził się ok. 1750 roku.

WYPELNIJĄC NAKAZ GORKIEGO

W 1928 roku w radzieckim czasopiśmie „Drug dzieci” (Przyjaciel dzieci) znalazły się wiersze nieznanego nam autoru, Pawła

Żeleznowa. Wiersze te zwróciły uwagę Gorkiego i dowiedział się, że Żeleznów jest chłopcem-sierotą. Wzruszony losiem młodego poety Gorki zajął się nim, a w 1930 roku dopomógł mu do stać się na fakultet literatury moskiewskiego uniwersytetu. Spełniając



Ilustracja do książki Gorkiego „Moje uniwersytety” wydanej w Rumunii.

Żeleznowa. Na wiersze zwrócił uwagę Gorki i dowiedział się, że Żeleznów jest chłopcem-sierotą. Wzruszony losiem młodego poety Gorki zajął się nim, a w 1930 roku dopomógł mu do stać się na fakultet literatury moskiewskiego uniwersytetu. Spełniając

su okazał się młody poeta. Wiersze zwróciły uwagę Gorkiego i dowiedział się, że Żeleznów jest chłopcem-sierotą. Wzruszony losiem młodego poety Gorki zajął się nim, a w 1930 roku dopomógł mu do stać się na fakultet literatury moskiewskiego uniwersytetu. Spełniając



Marionetka teatru Bunraku.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Był czas, kiedy w sklepach często słyszano się pytanie młodocianych klientów: „czy są szalcienci?” „Nie dowiedzieli” — odpowiadały ekspedientki, bo takie ich handlowe prawo, ale naprawdę nie wiedziały, o co chodzi. Nieporozumienie zrodziło się z powodu złażer z koszmarnym tekstem i podobnym wykonaniem — „szalcienci jakby z mgły” — śpiewała wszak Violetta Villas, a szło po prostu o szalcienci. W piosenkarstwie stajni rzą konie nie te... Mało jest tekstów poetyckich, niebanalnych i — co tu kryć — pięknych poezji napisanych. Nic to dziwnego, bowiem nie poeci je tworzą, a „tekściarze”. I choć jeden konkurs wiosny nie czyni, młodo odnotować, że LTM im. K. Szymanowskiego ogłosiło konkurs na piosenkę. I jeszcze mi leży, że nagrody otrzymały piosenki do tekstów Chróścielewskiego, Huszczy, Sikirskiego, Wawrzyniaka. Ale żeby nie było zbyt dużo szczęścia na raz, dodajmy, że był to konkurs na piosenkę dla... ruchu amatorskiego. Zawodowcy mają przecież „szalcienci” oraz do dyspozycji radio, TV, wydawnictwa płyt... Tak więc dla piosenkarzy-amatorów

WTOREK

„Nie szczędzimy siły i najlepszej woli w działaniu na rzecz powszechnej kultury w Polsce” — głosił uchwała Kongresu Kultury Polskiej. Do tych słów ma prawo ponad 1200 członków Towarzystwa Wiedzy Powszechnej z Łodzi i Ziemi Łódzkiej. Za parę dni zbierze się V Zjazd Wojewódzki TWP — będzie to sejm w całym tego słowa znaczeniu, nie tylko dlatego, że ostatni odbywał się 4 lata temu. Minione cztery lata wypełniły wędrówki wzdłuż i wszerz województwa z wiedzą — tą podstawową stawką potrzebną do życia jak chleb. Żadne konwencjonalne słowo, żadne słożeń nie wyraża ogromu społecznie koniecznej roboty, wykonywanej przez prelegentów TWP. Nie wyraża tego ogromu wykonanej pracy statystyczne zestawienia i tabele przygotowane na zjazd. Ani słowa, ani liczby nie są bowiem w stanie ukazać zimnych wieczorów w nie opalanych świetlicach na krańcach województwa, po drodze rozklekotanym po-

ŚRODA

„Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma” — śpiewano przed laty w kabaretach Warszawy. Ta prosta prawda nie zestarzała się do dziś, i jest aktualna nie tylko w kabaretach, ale także w teatrach co się zowie dramatycznych. Nie wątpię, że łódzkie teatry bardzo „lubią” laury w paryskim Festiwalu Narodów. Ale ich nie mają. Trzeba więc lubić „co się ma”. Na przykład laury czy laurki z festiwalu teatrów w Kaliszu. W ubiegłym roku pisało do nas w imieniu dramatycznych teatrów — dramatyczne listy, bośmy przeczyli „łódzki sukces w Kaliszu” w postaci wyróżnienia dla aktora Z. W tym roku błąd się nie powtórzy — powiedzieliśmy sobie, Jakiż piszemy, że w Kaliszu odbył się festiwal z udziałem łódzkich teatrów. Nie nasza wszakże jest wina, że tym razem jury przeoczyło udział łódzkich scen w kaliskim przeglądzie. Myśmy chcieli dobrze, ale jakoś „nie wyszło”. Nawet kabaretowej piosenki zastosować nie można. „To się lubi, co się

ciągami — w słońce i deszcz, latem i zimą. A takich wieczorów bywa rocznie 6-7 tysięcy i nie ma dziedziny wiedzy, z którą nie dotarli prelegenci TWP do wioski i osad Wielunia po Lask. Medycyna i rolnictwo, astronomia i ekonomia, filozofia i technika, literatura i geografia, prawo i biologia... Otwarta książka wiedzy, a nad nią trzy litarki TWP. To talny, Wszechobecny Propagator.

CZWARTEK

Piramida tapczanów układających się w jakieś niezwykle schody. Wstępuje na nie zgrabna dziewczyna. Podpis: szczerze kariery. Albo kanclerz NRF wyciągający rękę do zgody. W pewnym miejscu otwarta prawica przeraża, się w złowieszcą, czarną, hitlerowską „gape”. Oto dwa tylko z rysunków Jerzego Ibsa-Jankowskiego, które zrobiły światową karierę. Kilkaś innych prac tego grafika — satyryka znalazło się na otwartej dziś wystawie w Ośrodku Propagandy Sztuki. Ciekawa to wystawa — nie tylko ze względu na niewątpliwie osiągnięcia autora. Otóż Jerzy Jankowski debiutował w roku 1946 i dość nielokalnie z rysowaną satyrą Polski Ludowej. Był w jej szeregach w latach chudych i tłustych. Jest w nich dziś. Wystawa stanowi więc ciekawy retrospektywny obraz tej pogardzanej nieraz „gażetowej” twórczości — ważkiej przecież i istotnej społecznie. Dajacej przeżycia estetyczne dostępną nie tylko estetom, bowiem śmiech jest najbardziej demokratycznym przeżyciem. I jeszcze jedno. Ta nie zawsze doceniana grafika gazetowa nie tylko niesie aktualne treści obyczajowe i polityczne, ale ma szansę czynić to w sposób nowoczesny kształtując smak i wrażliwość plastyczną odbiorcy. Słowem — twórczość ta zasługiwała na wielką, przeglądową ekspozycję w dostojnym Ośrodku Propagandy Sztuki.

PIĄTEK

Światła rampy, błyski fleszy, wywłoki, oklaski widowni — ktoś o tym nie marzy mając osiemnaście lat. Uporczywa praca, dziesiątki stron tekstu wkuwanego na pamięć, wielogodzinne próby — ktoś o tym myśli mając osiemnaście lat. Dwu stron aktorskiego medalu widoczna jest najbardziej ta błyszcząca — druga strona — tę szarą — poznaje się dopiero po tym. Nie więc dziwnego, że u drzwi Wydziału Aktorskiego gromadzą się każdej wiosny młodzi zauroczeni wizją przyszłej sławy. W tym roku łódzka PWSTF nie przyjmowała kandydatów na Wydział Operatorów i Reżyserii — dla rekrutacji otwarty jest tylko Wydział Aktorski. Tym większy zatem będzie tłok. Tym więcej będzie osiemnastoletnich tragedii i klęsk. Wiele już pisało na ten temat, ale myślę, że bez bicia w bębny eksperymentu, najsmutniej spojrzała na tę sprawę Szkoła Teatralna w Krakowie. Otóż ogłasza się tam tzw. nabór na studia aktorskie dla młodych klas... dziesiątych. W ciągu roku kandydaci utrzymujący kontakt ze szkołą będą mogli dowiedzieć się coś więcej o przyszłym zawodzie, niż może im przekazać suchy tekst „Informatora”. Również więcej o przyszłych aktorach może dowiedzieć się szkoła — może ich sprawdzić i w sposób o wiele bardziej bezbolesny wyperswadować zamiar tym, którzy się tu znaleźć nie powinni. Nie znam szczegółów krakowskiego eksperymentu, ale myślę, że o podobne roz-

wiązanie powinna pomyśleć się i Łódź. Dla dobra szkoły i dla dobra kandydatów.

SOBOTA

Związek Łodzi z moim jest dość niki — co prawda sam kontradmirał Studziński pochodzi ponoć z włókienniczego grodu, ale z drugiej strony nie dysponujemy nawet przyzwoitą rzeką. A jednak właśnie w Łodzi rozpoczął się pod auspicjami Związku Zawodowego Młynarzy i Portowców Studencki Festiwal Filmowy „Ludzie i morze”. I może pomysł organizatorów z klubu „Kontynenty” wcale nie jest taki paradoksalny, może właśnie nam, którzy daleko jesteśmy od polskiego „okna na świat” trzeba szczególnie przypominać złożone problemy morza. Festiwal był nietypowy także i pod innym względem. Pokazano bowiem obok dzieł twórców zawodowych także prace filmowe amatorskich klubów. Łączył je wspólny temat — człowiek na tle morską pejzażu. Ale ten morski pejzaż, to nie mewa, chmurki i „wiatr co grzywa pieści”. To portowe krany, drobniowce i frachtowce, to rybołówstwo i przetwórstwo — to ogromna praca. I choć może trochę żal romantyki, białych żagli i wiatru co na wanted piosenkę gra — dobrze, że pokazano nam trud człowieka, który zajmuje się ciężką i niebezpieczną „uprawą morza”.

NIEDZIELA

Pogoda coś nielaskawa dla Dni Oświaty. Książ-

ki i Prasy. Wiatry wieją, deszcz zaczyna i spraw innych, ważniejszych natchłok. Ale akcja trwa. W Łodzi zaplanowano na Dni ponad 350 spotkań: odczytów, z czego najwięcej, bo 135 wypełniających pisarzy (wiadomo — Książka) oraz 134 spotkań z oficerami Wojska Polskiego (25 rocznica powstania LWP). Te dwie kompanie maszerują na czele okolicznościowych imprez. Podobnie jest w województwie, choć docierają do mnie z tej strony wieści niezbyt wesole. Przyjechał np. w ubiegłym tygodniu prelegent do domu poprawcze go w Ignacowie. Spotkanie było zapowiadane na godz. 19, ale... nie odbyło się, bo nie ma podobno siły, która mogłaby zmienić regulamin, a o godz. 19 wychowankowie już powinni pójść spać. Tego samego dnia nie odbyły się również dwa inne „organizowane” spotkania. W jednym wypadku z powodu remanentu w Klubie „Ruch”, w drugim z powodu remontu świetlicy. Prelegenci odbyli przejażdżkę po województwie i wrócili nie wypowiadając ani jednego słowa. Do słuchaczy, oczywiście — bo słowa to tam niewątpliwie padły i to dość ciężkie. No cóż, sprawa odczytów nie jest łatwa w województwie — o wiele trudniej „organizować” słuchaczy na wsi, czy w miasteczku, niż w fabryce czy przyzakładowym klubie. Jest to, oczywiście, wykonalne, ale o wiele większym wysiłkiem. A to artykuł — jak wiadomo — reglamentowany.

JERZY WIDOK

Macierzyństwo

1.

Wioszczyzna leży na piasku, wśród lasów. Chałupy ni-ziutkie, pokryte czernią strzechą, a w szczytach razem czernieją. Działki leżą tu sennie, powoli. Brak elektryczności, listonosz do-ciera co drugi dzień, bo miej-sce odludne, a droga mialka i ciężka. Pod lasem, gdzie grunt wilgotniejszy, niebieszc-zą się taffe trzecz stawów, otoczone kępkami żółtego sitowia. Latem życie nabierało rumieńców, jako że letnicy upatrzyli sobie ustronie na miejsce przyjemnych wywca-sów. Przynieśli gospodarzom trochę złotych, ale zburzyli spokój.

Od lipca minęły trzy mie-sięce: zbliżał się październik i dobiegały kopania. Jadź-ka dźwigała ciężkie kosze, zwała buraki do kopców. Kiedyś zemdliała przy robo-cie. Ojciec chwycił się za si-wę czuprynę i pognał w dyr-dy po sąsiadkę. Docuili ją jakoś wodą i octem. Ujrza-wszy pochylone nad sobą cie-kawe twarze, chwyciła się za brzuch i jęła wyrzekać na zimne placki kartoflane. Tym razem uwierzyli.

Zimą ustaly ciężkie roboty, mogła więc nieco odetchnąć. Dziwiło ino ludzi, że tak ma-ło pokazuje się we wsi. R-ż-nie to komentowali i już wte-dy wietrzyli sensację.

Wiszące nad łóżkiem zdje-cie od pierwszej komunii przedstawia Jadźkę jako roślę, szczupłą dziewczynkę. Ojciec potwierdza, że dziś, kiedy ma dwadzieścia trzy lata, jest ta-ka sama: wysoka i szczupła. Przy tej figurze nietrudno jej było utrzymać wiesz i ojca do ostatka w nieświadomości, zwłaszcza gdy poszerzyła nie-co sukienki.

W którąś noc na początku marca wzięły ją bóle. Bała się zbudzić ojca, chciała go posta-wić przed faktem dokonanym. Wymknęła się tedy do obory. Traf chciał, że stary, który solidnie zatankował u kuma, zbudził się za swoją potrzeba. Nie widząc dziewczyny w łóż-ku, polazł na podwórze, gdzie doszły go pojeżdżania z obo-ry. Znalazł ją skuloną na wiazce słomy koło żłobu; wy-trzeźwiał z miejsca, bo z dziewczyny słowa nie było można wydobyć, i pognał po pomoc. Nazbierało się męż-

czyn i kobiet, nawet dzieci podglądały ciekawie. Jęły ją baby obmacywać i doszły wreszcie prawdy! Bomba wy-buchła! Wywiodły Barczyka na bok i wyjaśniły, co i jak. Chłop zanębił, tak ryp-nęła go w łeb ta wiadomość. Potem rzucił się do żłobu z przekleństwami, że zabije. Że-by pod jego dachem trzymało się takie łajdactwo! Niedo-czekanie, załutuje, bo nie ścierpi wstydu! Jęki córki wróciły mu przytomność, chciał posłać po lekarza, ale kumy doradzały, aby zanie-chał.

Dziewucha zdrowa i mocna jak kuń, to przetrzyma.

Ojciec słuchał krzyku rodza-cej, łamało mu się serce, ale wstydył się sąsiadów i żałost zalewał bimbrem.

2.

Nie spełniły się zamysły „dobrotliwych” sąsiadek, albo Jadzia urodziła zdrowe-go i wrzaskliwego chłopaka. Stara Klepaczka, którą dzie-ci miastowa emigracją pozba-wiły opieki na starość, a któ-ra miała krzywdzić zaszła o sąsiadów, zemściła się teraz na nich. Bo przecież, jak mi powiedziała, nie przez litost nad grzeszną dziewczuchą rato-wała dzieciaka i zawiązała po-powinę. Nazajutrz do chałupy Barczyka ciągnęły istne piel-grzymki. Stary wściekał się, bo co rusz wpadał jakiś cie-kawski pod byle głupim pre-tekstem. Niektóry pocieszał, aby nie martwić się, gdyż bez zięcia to i gąb do żarcia mniej. Rajcowali co do późnej nocy, przypierali chorą do mu-ru i w końcu wydusili wyzna-nie. Cieszyli się tedy i chwali-li sztydliwie, że chłopak pię-kny i zdrowy, a w opłotkach dodawali, że nie dziwota, skó-ro ojciec majster przedni — sam inżynier przecie. Barczyk grzytał zębami, ale w koń-cu się przemógł, widząc jak dziewczyna zabiega o dziecko, jak je odziewa w różne szmat-ki. — Kiedy wieczorami ni-mowymi wychodziłem na po-gwarki — mówi — ona po kryjomu rzychowała wypraw-kę dla małego.

Robota nagliła, dał więc córce trzy razy po kielichu wódki, że po trzydniowym po-łogu przebiegała już ziem-niaki w kopcach. Walła się coraz większa robota, dzieciak wrzeszczał, głodny, zamocz-ny i zapaskudzony. Wedle ra-dy ojcowskiej Jadzia brała mak i cukier w szmatkę i da-

wała chłopakowi do ssania; narkotyzował się od zarańia, ale spał jak zabity.

We wsi jednak nie cichło. Szło teraz o to, że pod są-siednią strzechą hoduja „po-gana”. Barczyk prosił w ku-my, ale skrzętnie się wyma-wiali różnymi akuratywnymi po-wodami. Zaiste, przewrotna mentalność ludzka w naszej wioszczyźnie! Bo „pogana” nie chcieli, ale wyciągnąć dziecia-ka z pogańskiego stanu też nie mogli. — Panie, co by lu-dzie powiedzieli, jak bym niosła bękartą do kościoła!

A inna dodaje: — Jakby to prawnie było, w sakramen-cie małżeńskim, to co inne-go... Przyparty wroga posta-pił od ojciec również odstą-pił od dziewczyny. Sama tedy powlokła się do kościoła. Ksiądz wygłosił takie „pater noster”, że aż usiadła z płaczem pod srogim oskarżeniem. Wreszcie, ze względu na dziec-ko, ochrzcił je. Nie omieszkał jednak wygrzmieć na ambo-nie o przewrotnych duszach, co bez niejkiej wstrzemięźli-wości wioda grzeszny żywot. Słyszeli parafianie i rozumie-li, kogo ma na myśli.

3.

Jadwiga nie pokazywała się we wsi, bo gdzie się ino ru-szyła, gonili za nią złe spoj-rzenia, ciężkie słowo gryzło jak pies. Bardziej „taktowni” odwracali się tyłkiem, starsze kobiety spłukiwały na jej widok. Barczyk opowiada, że w majowy wieczór stanęła nie-miślnie w cieniu przy kaplicz-ce. Ktoś ją dojrzał. Prze-rwały śpiewanie, a gdy nie odchodziła, rozpętało się pys-kowanie.

— Że to taka nie wstydyli się stawać w świętym miej-scu!

Ktoś tam nawoływał do przykrócenia ozorów, bo to przecież kapliczka; jedna, tro-czętę rozsądniejsza, gadała, że tamtego fidyganta też należy winować. W późniejszym cza-sie dochodziło do tego, że dzieciaki wyzywały Jadźkę z ukręcia i rzucali kamieniami. Kiedy szła do rodziców ze skargą, pokazywano jej drzwi, częstowano obraźliwym słow-em. Kilku jurnych „kawaleczków” wypatrywało odej-ścia z chałupy starego Bar-czyka. Wtedy podłazili do okien, stukali w szyby i pcha-li się do izby, wyciągali do niej łapy. Przepędzała ich, ale stary nasłuchawszy się we wsi takich nowinek, córkę zbił, a dzieciaka wyrzucił do stodoły.

Teraz siedzi przede mną, siwiutki, przygarbiony, z gło-wą ukrytą w dłoniach, i wy-znaje żałośnie, że postąpił niesłusznie, że to wina sąsia-dów, co go podpuścił przeciw rodzonemu dziecku.

— Uciekła, panie, do miasta uciekła, do powiatu. Byłem u niej, płakała nade mną, a ja nad nią...

4.

Jechałem do miasta, a w wyobraźni wiozłem zrozpaczo-ną, załamana i zaszczuta dziewczynę. Z takimi myśla-mi pukałem do mieszkania na piętrze. Otworzyła inna Bar-czykówna, nie ta, którą chcia-łem ujrzeć. Pokoik jest ma-łeńki, ale schludny, wymus-kany. Niewiele sprzętów, bia-łe firanki, pelargonia, w rogu mały radiodiodniornik. W łóecz-ku śpi chłopczyk. Wojtuś. Już biega i mówi: mama. On nie mówi: panna z dzieckiem. Panna Jadzia jest tak, jak w opowiadaniu ojca: szczupła, wysoka, o ładnej twarzy, sza-rych oczach i jasnych wło-sach. Cieszy się, że przyjecha-łem. Kiedy jednak wspomina wydarzenia sprzed roku, w oczach pojawia się zaleknienie i smutek. Inaczej mówi o współczesnym życiu. Jest wdzięczna ludziom, niezna-nym, obcym ludziom, którzy stali się dla niej bardziej blis-cy niż ci z rodzinnej wsi, w której się urodziła i wycho-wała. Z rozrzwieniem wspo-mina pierwszą noc, która spe-dziła w mieszkaniu towarzyszk-i z Komitetu Powiatowego partii. To ona ruszyła koło dobrej woli: Lige Kobiet, za-rząd ZMS i ZMW. Wystarali się jej o pracę w fabryce. Najgorzej było z mieszkaniem, ale wszystko ułożyło się do-brze: tu, gdzie teraz siedzi-my, gnieździła się sześciocoso-bowa rodzina, która przenio-sła się do bloku. Małego odda-je do żłobka. To trochę uciąż-liwe, bo daleko. Ale Jadwiga i tak jest zadowolona. Mówi o osamotnionym ojcu. Wilgot-nieja jej oczy. Żal jej stare-go ojca, przebaczyła mu wszystko, choć i on wyrzadził wiele krzywdy. Nie usiłuje tłumaczyć, wybielać starego z winy. Zegnam się i wychodzę, a w uszach dzwonią mi słowa dziewczyny o niemożliwości powrotu do wsi. Myślę so-bie, że tym razem historia zakończyła się szczęśliwie. Później, już w drodze, rodzą się wątpliwości.

5.

Nie, to nie jest happy end! Przecież na skutek ludzkiej głupoty na kilkukhektarowym gospodarstwie pozostał stary człowiek. Jego ziemia jałowicie, wala się płoty, biednieje bydlę. Wkrótce trzeba będzie zaliczyć to gospodarstwo do podupadłych. Przez kołtuństwo i złość ludzką unieszczęśliwio-no ojca i córkę, rozdzielono ich brutalnie. Ucierpiał, wsku-tek nieodpowiednich warun-ków, niemowlę, co może mieć wpływ na dalszy rozwój dziec-ka. I nie jestem pewien, czy nawet tam — w mieście, kie-dy Wojtek pójdzie do szkoły, nie będą go pytać rówieśnicy, gdzie ma tatę. A czy szczęśli-we będzie życie Jadwigi, czy nie będzie jej towarzyszył przydomek „panny z dziec-kiem”? I ten chłód, ta rezer-wa.

Czas zobaczyć w „pannie z dzieckiem” po prostu Matkę.



Z tekstu L.T.F.

Fot. J. Maroszek



Lewym okiem

ZA DUŻO KSIĄŻEK!

„Powiem wam rzecz przykrą: w Polsce jest za dużo książek, książek nie czytanych. W mia-stach, miasteczkach i wsiach spotyka się bibliote-ki — chciałyby się powieścić ementarze, bo jak na ementarzach cicho śpią groby jesiennym po-kryte liściami, tak w tych bibliotekach książki odpoczywają pod powłoką kurzu”.

Tak pisał dyrektor społecznikowskiej, katolic-kiej instytucji — Polskiej Macierzy Szkolnej — Józef Stemler, w roku Pańskim 1935. Pisał to w liście otwartym Do Panów Literatów i Dzien-nikarzy Polskich. Prosił, aby przegrali na chwilę pisanie ksiąg, których i tak za dużo, a poparli wszystkim środkami inicjatywę, przez niego, dy-rektora Stemlera, podjętą: „Wyszukaj sobie anal-fabetę i naucz go czytać”.

Inicjatywa wynika ze stwierdzenia, że przez siedemnaście lat niepodległości nie zdobyto się na żadne nauczanie zbiorowe, że — nie mówiąc o dorosłych — coraz większy procent dzieci po-zostaje poza szkołą podstawową mimo ustawy o powszechnym nauczaniu, że tylko indywidual-na działalność ofiarnych jednostek może jeszcze

dać nadzieję na zmniejszenie armii analfabe-tów. Stemler szacuje ich liczbę — w broszurze pt. „Na drodze do Polski czytającej”, wydanej w owym trzydziestym piątym roku — na sześć i pół miliona, to znaczy dwadzieścia procent lud-ności Polski. Co piąty obywatel — niegramotny! Zdaje się, że tylko Portugalia wśród krajów eu-ropejskich wyprzedzała nas pod tym względem. W takiej Danii analfabetyzm już był zjawiskiem nieznanym i minister duński na pewnej konfe-rencji gospodarczej mógł chętnie a metaforycz-nie twierdzić, że „duńskie masło jest najlepsze na świecie i nie boi się konkurencji. Dlaczego? Bo chłopci duńscy deklamują poetów duńskich”...

Nie pomogła więc ustawa, nie było środków materialnych, nie było zorganizowanej siły, która by podjęła walkę z przerażającym zaco-faniem kulturalnym wielkiej części społeczeństwa. Trze-ba było odwoływać się do ofiarności, zapatu, po-święcenia idealistycznie usposobionych jednostek. Nie było zorganizowanej siły? Gorzej, proszę Szanownych Czytelników, stokród gorzej. Istniały siły, które świadomie i konsekwentnie prze-ci-wstawiały się walce z analfabetyzmem.

Na broszurę Stemlera zareagowała w łowiskim radio posłanka Maria Jaworska, przewodnicząca — uwaga! — Komisji Oświatowej Sejmu, działaczka Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet. Przemówie-nie to wydała następnie w broszurze pt. „Jak walczyć z analfabetyzmem”. Co pisze posłanka, działaczka na łowie oświaty? Cytujemy: „Analfabeta, któregośmy nauczyli czytać, a następnie zostawili własnemu losowi, łatwo przy głodzie książki, a braku odpowiedniej, zużyje zdobytego kunsztu na pochłanianie bez żadnego wyboru wszystkiego, co mu wpadnie w ręce, choćby na-wet komunistycznej bibuły. I kto wie, czy nie pożałujemy naszego wysiłku, prowadzącego w naszym tragicznym a niespodziewanym efekcie do takiego końca...”.

Znany wówczas, jeden z czołowych publicystów obozu narodowego, Jan Rembelski, wspominał w 52 numerze „Myśli Narodowej” z 1933 roku swoją działalność jako konspiratora, szerzącego niegdyś tajną oświatę pod pruską okupacją. Re-daktora Rembelskiego opadły nagle wątpliwoś-ci: „Jakaż korzyść rzeczywiście, moralną, odnie-sli oni (tj. uczniowie Rembelskiego, przyp. mój) ze zdobytej umiejętności, w czym ona ich udosko-naliła, podniosła? Czy lektura nie popsuła pol-szczyzny ich mowy, rejonowskiej, reymontowskiej, zastępując jej odwieczną czystość i piękno żargan-em reporterskiego szablonu? Czy, ucząc czytać, nie wdrażałem ich w praktykę do bezmyślności, wydając ufnych na pastwę drukowanemu non-sensowi, sugestiom ogłupiającym i szkodliwym?”

To były argumenty, co? Nie uczyć Wojtkę czy-tać, bo przestanie być skansenowskim ekspona-tem czystego, nieskażonego prymitywu, nie uc-zie czytać łódzkiego szpina, bo mu we łbie przewróci komunistyczna bibuła! Z takimi argu-mentami spotkała się inicjatywa Polskiej Macierzy Szkolnej, inicjatywa rozpaczliwa, idealistyczna, nierealna, podjęta na pewno z dobrej woli i na pewno z poczucia niemocy — a może i złej woli — ówczesnego aparatu władzy.

Tyle słów dzisiaj z okazji pięknych dni Oświa-ty, Książki i Prasy. Nam książek ciągle mało. Naszych pisarzy nie prosi się o zwolnienie tem-pa produkcji, piękną reymontowską i rejonowską mowę powielamy milionokrotnie i nareszcie na-prawdę pokazujemy wszystkim w pełnej krasie. A ta zmiana nie wynika z zwyczajnie stad, że minęło trzydzieści lat. Wówczas dyrektor Stemler miał za sobą siedemnaście lat niepodległości i ros-nący procent analfabetów. To właśnie chciałem powiedzieć.

CWIĘK